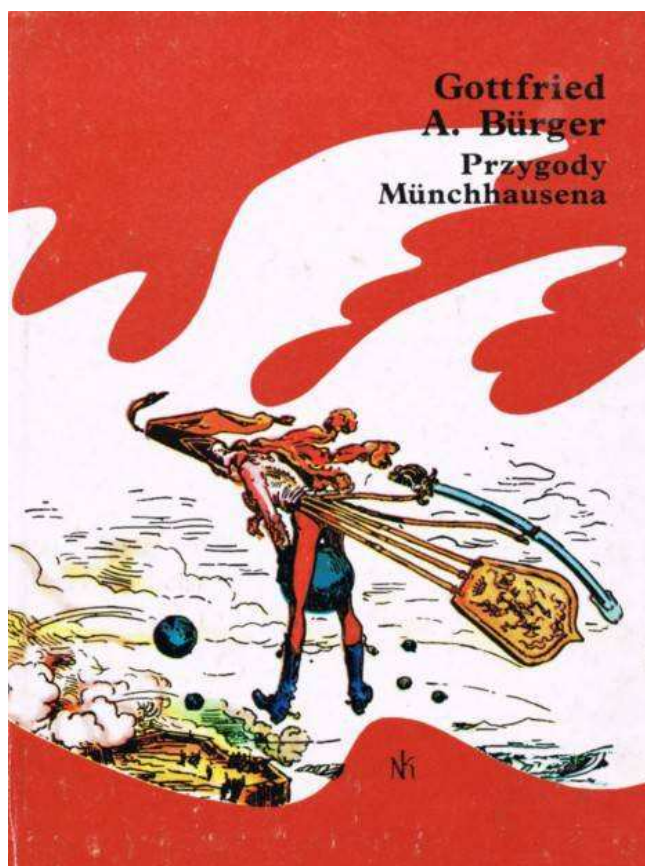


GOTTFRIED A. BÜRGER

**PRZYGODY
MÜNCHHAUSENA**

PRZEKŁAD: HANNA JANUSZEWSKA



INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA” WARSZAWA 1983

Słowo wstępne

Przez długie wieki ludzie pracujący ciężko na roli i w rzemiośle żyli jak niewolnicy i nędzarze. Pragnęli oni — jak każdy człowiek — wolności, szczęścia i wiedzy, ale naprawdę wolni, bogaci i potężni mogli być wówczas tylko w marzeniach. W długie, zimowe wieczory opowiadali sobie legendy i bajki tak pełne radości, niezwykłych i szczęśliwych przygód, jak ich dola była smutna, szara i ciężka. W baśniach znajdowali to, czego brakowało im w życiu — radość, wolność, dostatek, panowanie nad siłami przyrody, nad przestrzenią, którą wówczas trzeba było przecież pokonywać na piechotę lub co najwyżej konno.

Każdy naród posiada własny, niewyczerpany skarbiec takich ludowych opowiadań, baśni i bajek — skrzących się wspaniałymi, fantastycznymi pomysłami, błyskających dowcipem i wesołą kpina, pełnych pogody życia i marzeń o szczęśliwej i sprawiedliwej przyszłości świata.

Twórcą wspaniałych wątków, stanowiących podstawę przygód opowiedzianych w tej książce, nie jest baron Hieronim Münchhausen, który żył naprawdę w Niemczech przed dwoma wiekami, przez dziesięć lat służył jako oficer kawalerii w armii rosyjskiej i zyskał sławę niezwykłego samochwała, zmyślającego przy kieliszku niestworzone historie, jakie mu się rzekomo zdarzyły.

Również Gottfried August Bürger, znakomity poeta niemiecki z XVIII wieku, którego nazwisko widnieje na okładce, nie wymyślił sam wszystkich tych uroczych bajek myśliwskich, żołnierskich i podróżniczych.

Stworzył je niemiecki lud — bogata fantazja wielu pokoleń bezimiennych gawędziarzy, tych nieznanymi artystów żyjących pod chłopskimi strzechami czy ubranych w uniformy prostych żołnierzy.

Baron Münchhausen popijający wino w wesołej kompanii i chełpiący się przed nią swymi zmyślonymi wyczynami i awanturami bezwiednie czerpał pomysły do swych przechwałek z ludowych baśni, zasłyszanych od chłopów i wyczytanych w popularnych wówczas kieszonkowych „Podręcznikach dla wesołków”. Z takich właśnie bajek o niezwykłych sposobach myśliwskich, o lasach wyrastających w mgnieniu oka pod samo niebo, o olbrzymach stawiających siedmiomilowe kroki, o czarownicach latających w powietrzu na miotłach, o dziwacznych zwierzętach — układał dowcipny baron swoje opowiadania o tym, jak to polował na kaczkę i niedźwiedzie, harcował na fruwających kulach armatnich, wspinał się na księżyc po pędzie fasoli i korzystał z usług trzech niezwykłych służących... Jego pełne cudownych i nieprawdopodobnych przygód wyprawy morskie przypominają żywo starą niemiecką bajkę żołnierską „O sześciu zuchach, którzy zwiedzili cały świat”.

Opowiadania Münchhausena, spisane i wydane najpierw anonimowo w Niemczech, potem przełożone na język angielski, zwróciły uwagę poety Gottfrieda Augusta Bürgera, który słynął jako twórca pięknych ballad — wierszy opartych na ludowych legendach i opowiadaniach, opiewających niedolę i bohaterstwo prostych ludzi. Opracował on na nowo, upiększył i rozszerzył przygody Münchhausena i wydał je drukiem w 1786 roku, zatajając zresztą swoje nazwisko jako ich autora.

W ujęciu Bürgera fantastyczne przygody niemieckiego barona, zawadiaki i blagiera, nabrały cech subtelnej, ale ciętej gdzieś kpinie z całej niemieckiej szlachty, z jej awanturniczości, opilstwa i nieróbstwa.

Opowiadania te zyskały szybko rozgłos w Niemczech i nawet w innych krajach. We Francji na przykład przełożył w zeszłym stuleciu książkę Bürgera słynny pisarz francuski Teofil Gautier, a współczesny mu rysownik i malarz Gustaw Dore ozdobił ją wspaniałymi sztychami. Baron Münchhausen stał się wszędzie uosobieniem wesołego gawędziarza-samochwała, a opowieść o jego cudownych przygodach rozślawiła po całym świecie piękne wątki ludowych niemieckich bajek.

Zdzisław Ryłko

Podróż z przygodami

Wyruszyłem z domu w podróż do Rosji w połowie zimy, mniemając całkiem słusznie, iż tylko wówczas mróz i śnieg, bez żadnych kosztów ze strony szacownych i troskliwych rządów, darmo wygładzą wreszcie drogi poprzez północne okolice Niemiec, Polskę, Inflanty i Kurlandię, drogi, które wedle opisów wszystkich podróżników są jeszcze bardziej wyboiste niż ścieżki wiodące do Świątyni Cnoty.

Podróżowałem konno. Najlepszy to sposób, zwłaszcza gdy zacny jest jeździec i szkapa. Nie narazisz się wtedy na sprawę honorową z pierwszym lepszym uprzejmym niemieckim poczmistrzem ani na to, by wiecznie spragniony pocztylion włóczył cię od karczmy do karczmy.

Byłem lekko odziany, co, gdym się coraz bardziej zapuszczał na północny wschód, dosyć dawało się we znaki.

Łacno więc sobie wystawić, jak przy tak srogiej pogodzie czuł się w pustej okolicy ubogi, stary człowieczyzna, który na polskim wygonie leżał opuszczony, ledwo paroma łachami nagość swą skrywający. Serce ścisnęło mi się z żalu nad biedaczyskiem. Więc choć i mnie mróz aż pod żebra w serce się wgryzał, przecież narzuciłem nań mój płaszcz podróżny.

Wtedy z nagła ozwał się z niebios cudowny głos, wychwalający mój czyn miłosierny:

— Niech mnie wszyscy diabli, synu! To ci będzie policzone!

— A niech tam — pomyślałem i jechałem dalej, aż mnie ogarnęły mrok i noc. Jak okiem sięgnąć, nie jawiła się, nie odzywała żadna wieś. Kraj cały leżał pod śniegiem, nie sposób wypatrzeć ni drogi, ni mostu. Znużony jazdą, zsiadłem z konia i przywiązałem go do czegoś, co mi kształtem przypominało sterczący ze śniegu pień. Dla pewności podłożyłem sobie pistolety pod ramię, ległem opodal na śniegu i uciałem sobie zdrową drzemkę aż do białego dnia.

Zdumiałem się wielce, gdym obaczył, że leżę pośrodku wsi, na cmentarzu kościelnym. Mego konia początkowo nigdzie dojrzeć nie mogłem. Lecz — oto usłyszałem gdzieś wysoko nade mną rżenie. Gdym spojrział w górę, ujrzałem, że moje konisko do kurka kościelnego przywiązane u wieży dynda! Wnet pojąłem, jak się rzecz miała: całą wieś nocą zasypał śnieg, a gdy z nagła mróz zelżał, śnieg zaczął tajać, a ja śpiąc obsuwałem się wraz z nim po trosze, pomaluśku i łagodnie.

To zaś, com w ciemności wziął za pień ze śniegu sterczący, do czego mego konia przywiązał, był to krzyż czy też kurek na kościelnej wieży.

Nie zastanawiając się więc wiele, wziąłem jeden z mych pistoletów i palnąłem z niego w cugle od uzdy mojego wierzchowca. W ten sposób odzyskałem konia i ruszyłem dalej w drogę.

Potem wszystko szło dobrze, aż do chwili gdy przybyłem do Rosji, gdzie nie ma zwyczaju zimą konno podróżować. Że zaś kieruję się zasadą „Co kraj — to obyczaj” — nabyłem małe, ręczne sanki zaprzęgnięte w jednego konia i ruszyłem do Petersburga z animuszem.

Nie pomnę już zgola, czy mi się to przydarzyło w Estonii, czy też w okolicach pomiędzy Narwą i Newą, to przecie pamiętam, iż było to w srogim lesie, gdym ujrzał pędzące za mną straszliwe wilczysko, któremu gwałtowny zimowy głód dodawał jeszcze rącości. Toteż wilk mnie wnet dogonił i zdawało się, że już nie ma dla mnie ratunku. W okamgnieniu położyłem się na płask na dnie sań, zdając konia na jego własny spryt, co mi się zdało najlepsze dla nas obu.

I wtedy stało się to, co mi wprawdzie chodziło po głowie, ale czegom się ani spodziewałem, ani oczekiwałem.

Wilczysko, nie bacząc na moją skromną osobę, dało przeze mnie susa i, zapamiętałe w

złości, skoczyło wprost na konia, oderwało i łyknęło za jednym razem cały zad biednej szkapę, która z trwogi i bólu; gnała tym ci prędeż.

A ja, skryty w saniach i bezpieczny, ukradkiem uniosłem głowę i wtedy ujrzałem z przerażeniem, że wilczysko przeżarło prawie konia na wylot.

Zaledwie jednak wcisnęło się zgrabnie do wewnątrz końskiego kadłuba, skorzystałem z okazji i zamachnąłem się siarczyście biczem po jego kudłach. Choć wilczysko tkwiło jakby w pokrowcu, przecież ten niespodziewany cios napędził mu tęgiego stracha. Z całej mocy targnęło się naprzód, aż spadł zeń koński zezwłok i wyobraźcież sobie! — miast konia gna wilczysko w zaprzęgu! Ja ze swej strony coraz gęściej świadczyłem mu razy biczem i oto niespodzianie dla obydwu nas, zdrowo i cało, galopem wpadliśmy do Petersburga, ku niemałemu zdumieniu spektatorów*.

Nie będę was, panowie, nużył czężą gadaniną o położeniu, sztukach pięknych, naukach ani o osobliwościach tej świetnej rosyjskiej stolicy. Nie będę też zabawiać was intryżkami i swawolnymi przygodami, jakie się zdarzają na przyjęciach, gdzie pani domu częstuje gościa wódką i całusem. Godniejsze waszej uwagi zdają mi się przedmioty bardziej szlachetne, tyczące się koni i psów, których byłem zawsze najszczerzym przyjacielem, a także opowiem co nieco o lisach, wilkach i niedźwiedziach. Tej bowiem dzikiej zwierzyny jest w Rosji większa obfitość niż w którymkolwiek kraju świata.

Że trwało to czas niejaki, nim się do wojska zaciągnąłem, tedym przez parę miesięcy z pełnej swobody korzystał i mogłem czas mój i pieniądze przehulać w sposób najbardziej godny szlachcica. Niejedna noc upłynęła mi przy kartach, a wiele — przy brzęku pełnych kielichów. Mrozy panujące w tym kraju, a także jego obyczaje nadały flaszy, kompance zabaw i rozrywek, rangę o wiele wyższą niżli w naszym trzeźwym niemieckim kraju. I spotkałem tu mnóstwo ludzi, którzy w szlachetnej sztuce popijania godni byli zwać się artystami.

Lecz każdy z nich za lichego partacza by uchodził przy siwobrodym, czerwonym jak burak generale, który z nami przy wspólnym stole ucztował. Stary ten jegomość postradał był w bitwie z Turkiem wierzchnią część czaszki i z tej to przyczyny, gdy tylko ktoś nowy do naszej kompanii trafił, w sposób najgrzeczniejszy, dwornie go przeproszał, iż przy stole nie zdejmuje kapelusza.

Miał on zwyczaj podczas uczyty wypróżniać parę flasz winiaku, kończąc wyczyn butlą araku lub zaczynając rzecz od nowa, gdy tylko zdarzyła się po temu sposobna okazja. Nigdy jednak nie spostrzegłem, by choć trochę miał w czubie. Nie uwierzycie mi, panowie, gdzie leżała tego przyczyna! Wybaczam wam to, bowiem i mnie było trudno rzecz tę pojąć. Nie mogłem jej sobie długo wytłumaczyć, aż z nagłą i niespodzianie klucz do tej zagadki znalazłem.

Od czasu do czasu generał lekko unosił kapelusz. Widziałem to nieraz i nie brałem mu tego za złe. Rzecz prosta, iż rozgrzewało mu się czoło, rzecz prostsza jeszcze, iż je chciał ochłodzić. Wreszcie kiedyś zobaczyłem, że wraz z kapeluszem podnosi się przymocowana doń srebrna blaszka, którą generał miał załataną czaszkę, i wówczas zawsze kurzy mu się ze łba opar wypitych przez niego mocnych trunków. Szepnąłem o tym paru przyjaciółom i oświadczyłem gotowość zaraz, a był to już wieczór, prawdziwość moich słów udowodnić.

Stałem wiec z moją fajką za generałem i właśnie, gdy opuszczał z powrotem kapelusz, podпалиłem kawałkiem papieru unoszący się opar. Wtedy ujrzelśmy niewidziane i piękne widowisko. Słup pary nad głową bohatera przemienił się w słup ognisty, a opar snujący się pomiędzy włosiem kapelusza zabłysnął modrym, najpiękniejszym blaskiem, wspanialej lśniąc niżli aureola wokół głowy największego ze świętych. Eksperymentu tego nie sposób było przed generałem zataić. Lecz stary bynajmniej się o to nie gniewał i dozwolił nam nieraz jeszcze powtarzać doświadczenie, które dodawało mu tyle dostojnej powagi.

* spektator (z łac.) — widz

Opowieści myśliwskie

Pomijam milczeniem poniektóre wesołe przypadki, które nas przy takich to okazjach spotykały, mam bowiem chętkę opowiedzieć wam, panowie, o co uciesznieszych i osobliwszych myśliwskich przygodach.

Nie zda się to wam dziwne, że zawsze lgnął do zacnych kompanów, którzy wolną, bezkresną leśną dziedzinę należycie umieją szacować. Zarówno rozmaitość rozrywek, jak i niezwykajne wprost szczęście, które towarzyszyło każdemu mojemu poczynaniu, sprawiły, iż po dziś dzień z rozkoszą to wszystko wspominam.

Kiedyś, o świcie, ujrzałem przez okno mej sypialnej komnaty, iż stadko dzikich kaczek, rzekłbyś, pokryło całkiem wody ogromnego stawu, który leżał nie opodal. W mgnieniu oka pochwyciłem z kąta skałkówkę, szustnąłem ze schodów na łeb, na szyję i najnieopatrzniej w świecie trzasnąłem głową o framugę drzwi. Ale się ni na moment nie zatrzymał, choć zdało mi się, że iskrami i gwiazdami z oczu sypnął.

Przykładam broń do oka, celuję i patrzcież, do licha! Wraz z tylko co doznanym gwałtownym wstrząsem odleciał krzemień od kurka! Co miałem czynić? Nie sposób było czas tracić. Szczęściem miałem jeszcze w pamięci, co mi się świeżo z oczami przydarzyło. Odrywam tedy panewkę, celuję do dzikiego ptactwa i walę się pięścią w oko. Starczyło w nim jeszcze iskier! Huknął strzał. Trafiłem kaczek par pięć, cztery cyranki i parę kurek wodnych.

Przytomność umysłu jest mężnych czynów podniętą. Żołnierze i żeglarze wielokroć zawdzięczają jej swe ocalenie, a myśliwi swe szczęście.

Zdarzyło się, iż w jednej z moich myśliwskich wędrówek dotarłem do wiejskiego jeziora, po którym tu i tam pływało sobie kilkadziesiąt dzikich kaczek. Były jednak tak rozproszone, że nie mogłem położyć więcej niż jedną jednym strzałem. Na domiar złego ostał mi się tylko jeden nabój w mojej flincie. Zdałoby się jednak ustrzelić ich więcej, bom się wkrótce spodziewałem odwiedzin całej hurmy przyjaciół i znajomków. Nagle wpadło mi na myśl, że mam przecie w mej myśliwskiej torbie jeszcze jeden kawałek słoniny, który mi pozostał z zabranej na polowanie przekąski. Przywiązałem tedy słoninę do psiej smyczy, którą rozplotłem, co najmniej czterykroć ją podłużając.

Co uczyniwszy, skryłem się w sitowiu, przy samym brzegu, wystawiłem mój kawałek słoniny na smyczy i ku mojej uciesze widzę, że najbliższej pływająca kaczka żwawo się doń zbliża i łyka. Za nią podpływają inne, gdy przywiązany do smyczy gładki kęs w nieprzetrawionym stanie szybko się z kaczki drugim końcem wyśliznął, łyka go druga, trzecia i tak dalej po kolei. Mówiąc krótko, kęs przewędrował przez wszystkie kaczki, ani jednej nie ominąwszy, i nie odczepił się nawet od smyczy!

Były na nią nanizane jak perły na sznurek. Przyciągnąłem je więc pięknie-ładnie do brzegu i owinąwszy się wokół ramion i piersi sześciokrotnie sznurem ruszyłem ku domowi.

Drogi miałem jeszcze szmat przed sobą i męczyli mnie setnie ciężar tyłu kaczek. Wyrzucałem sobie już prawie, iż ich tyle połapałem. Wtedy przydarzyło mi się coś, co mnie w pierwszej chwili wprawiło w niemały ambaras. Kaczki bowiem były wszystkie jeszcze żywe i, otrząsnąwszy się z pierwszego oszołomienia, jęły krzepko bić skrzydłami, unosząc się ze mną wysoko w powietrze.

Niejeden by się zatracił w podobnych okolicznościach, ja jednak wykorzystałem je, jak mogłem najlepiej, na mój pożytek. Jałem bowiem wiosłować po powietrzu połamami mego kabata, w stronę domu się kierując.

Gdym się tak w górze nad moim domem już znalazł, trzeba się było jakoś opuścić, szkody sobie nie czyniąc. Ukręciłem więc łeb jednej kaczce, potem drugiej, trzeciej i innym. I w ten sposób miarowo i łagodnie osunąłem się poprzez komin mego domu na sam środek

kuchennego paleniska, w którym na szczęście nie zdążono jeszcze rozpaść ognia. Kucharz mój niemało się zdumiał i najadł się tęgiego stracha.

Podobny przypadek miałem ze stadem kuropatw. Wyszedłem sobie, by nową flintę wypróbować, i już wystrzelałem niewielki zapas śrutu, gdy ni stąd, ni zowąd furknęło mi spod nóg spłoszone stadko kuropatw. Chętka mnie wzięła mieć je dziś jeszcze, wieczorem, na stole i sprawiła, że wpadł mi do głowy koncept, którego — pod słowem! — możecie i wy zażyć, panowie, gdy się wam po temu przydarzy okazja.

Gdym tylko obaczył, gdzie siadły kuropatwy, zwawo nabiłem moją broń, lecz nie śrutem, ale stemplem, który, tak szybko, jak tylko mogłem — zaostrzyłem nieco od górnego końca i podszedłem bliżej do kuropatw. Gdy się tylko poderwały, nacisnąłem cyngiel i ujrzałem z radością opadający opodal powoli mój stempel, a na nim siedem kuropatw, zdumionych może, że je tak przedwcześnie jeden rożen zjednoczył.

Słusznie powiadają: „Radź sobie na świecie, jako możesz”.

Innym znów razem w okazałym rosyjskim lesie wyskoczył na mnie wspaniały, srebrny lis. Aż żalność brała na myśl, że ktoś mógłby się poważyć tak kosztowne futro kulą czy śrutem przedziurawić.

Jaśnie Wielmożny Przechera stanął tuż przy drzewie, a ja w okamgnieniu wyciągnąłem kulę z lufy, załadowałem w nią tęgi gwóźdź, dałem ognia i tak celnie trafiłem, że lisią kity przygwoździł do pnia. Po czym podszedłem do lisa, wyjąłem kordelas, przeciąłem na krzyż skórę na lisim pysku, chwyciłem harap i wychłostałem zwierza z jego futra tak grzecznie, że prawdziwie było co podziwiać.

Nieraz przypadek i szczęście popełnione błędy naprawiają. Miałem się o tym wkrótce przekonać, gdy w ogromnym lesie ujrzałem kłusującego warchlaka i podążającą za nim maciorę. Strzeliłem i spudłowałem. Warchlak wyrwa sam naprzód, maciora przystanęła i znieruchomiła, jakby wrosła w ziemię. Gdym się jej przyjrzał z bliska, poznałem, iż bestia była ślepa i trzymała ogonek swego warchlaka w pysku. Warchlak zaś prowadził ją z synowskiego obowiązku.

Że zaś moja kula przeleciała pomiędzy obojgiem, przecięła tę linkę, której koniec wciąż jeszcze dzierżyła w zębach maciora. Przewodnik już jej nie prowadził, więc przystanęła. Ja zaś chwyciłem za koniuszek dziczego ogona i poprowadziłem na nim stare, bezradne stworzenie bez trudu i sprzeciwu wprost do domu.

Choć wielce niebezpieczna jest dzika maciora, o wiele jeszcze niebezpieczniejszy jest srogi odyniec. Spotkałem takowego kiedyś w lesie, gdym, na moje nieszczęście, nie był gotów ani do ataku, ani do obrony.

Ledwo udało mi się smyrnąć za drzewo, gdy rozjuszony zwierz z całą mocą zadał cios z boku. Jego kły wryły się jednak w drzewo, tak że ani ich wyrwać, ani ciosu powtórzyć już nie był w mocy. — Ha — ha! — pomyślałem. — Mam cię, bratku! — W okamgnieniu pochwyciłem kamień, jałem nim kuć jak młotem po kłach i zbiłem je razem tak, że odyniec ująć mi już nie mógł. Musiał czekać cierpliwie, ażem z pobliskiej wsi wózek i powrozy ściągnął, aby go zdrowym i całym do domu dostawić, co się też udało wysmienicie.

Bez wątpienia słyszeliście, waćpanowie, o patronie strzelców i myśliwych, świętym Hubercie, jako też i o wspaniałym jeleniu z krzyżem świętym pomiędzy rogami, który mu się ongiś w lesie objawił.

Temu to świętemu Hubertowi zwykłem rok w rok w zacnej kompanii, hołd składać, a co się tyczy jelenia — tom go oglądał chyba z tysiąc razy: zarówno na kościelnych malowidłach, jak i na haftowanych wstęgach orderowych jego rycerzy. Tak że, na honor i sumienie prawego myśliwca! — sam już nie wiem, czy przed laty bywały takie zdobne w krzyż święty jelenie, czy też może są i dziś jeszcze,

Pozwólcie więc, że wam opowiem raczej o tym com na własne oczy widział. Kiedyś, gdym już cały mój ołów wystrzelał, wyskoczył na mnie niespodzianie najpiękniejszy w świe-

cie jeleni. Spojrzał mi w oczy tak, jakby go ani grzało, ani ziębiło nasze spotkanie zdawało się, że wie dobrze o mojej pustej ładownicy. Natychmiast nabiłem flintę prochem i pełną garścią pestek wiśniowych, które wyłuskałem z mięszu tak prędko, jakem tylko zdołał. I wpakowałem mu cały nabój w sam środek czoła, pomiędzy rogi. Strzał niemal go ogłuszył, zachwiał się, lecz umknął mi przecież.

W rok czy dwa lata później znalazłem się znów na łowach w tymże samym lesie. I wyobraźcie sobie — zjawia się oto okazały jeleni, a pomiędzy rogami ma drzewo wiśniowe, na dziesięć stóp wysokie albo i wyższe. Przypomniała mi się więc moja przygoda: ten jeleni wydał mi się dawno należną zdobyczą, powaliłem go tedy jednym strzałem i miałem zeń pieczeń i sok wiśniowy naraz. Drzewo było bowiem bujnie okryte owocem tak rozpływającym się w ustach, jakiegom nigdy dotąd nie jadł. Kto wie, czy nie w podobny sposób jakiś zapalony święty myśliwiec, miłujący łowy biskup czy opat, osadził krzyż pomiędzy rogami jelenia świętego Huberta?

W pałacej potrzebie, gdy chodzi o wóz czy przewóz, co się nierzadko i najdzielniejszemu myśliwcowi przytrafić może, będzie się on imał każdego sposobu i próbował wszystkich, by nie stracić dobrej okazji.

Nie raz i nie dwa byłem ja sam narażony na taką pokusę.

Cóż powiecie, panowie, na przykład o takim wydarzeniu? W pewnym polskim lesie zabrakło mi prochu, właśnie kiedy się ściemniało. Gdym już do domu wracał, wyszedł mi naprzeciw srogi niedźwiedź z rozwartą paszczą, jakby już miał mnie żywcem pożreć. W pośpiechu, daremnie szukałem po kieszeniach kul i prochu. Nie znalazłem nic prócz dwóch zapasowych skałek od flinty, które myśliwy na wszelki wypadek ze sobą zwykle zabiera. Cisnąłem jedną z nich z wielką mocą w otwarty pysk potwora i trafiłem prosto do przełyku. Nie spodobało się to niedźwiedziowi, zakręcił się tedy na odsiebkę, tak że mogłem teraz do jego tylnej furty celować. Wszystko udało się nadzwyczajnie i świetnie. Nie dość, że krzemień trafił do środka; ale z pierwszym krzemieniem się zderzywszy, buchnął ogniem i z hukiem gwałtownym rozsądził niedźwiedzia. Choć i tym razem wyszedłem cało, nierad bym powtarzać tej sztuczki ani zadzierać z niedźwiedziem bez innych sposobów obrony.

Snadź przypadł mi los taki, że mnie najdziksze i najstraszliwsze bestie wtedy spotykały, gdym nie miał możliwości wziąć ich na sztych: tak jakby im wrodzona zmyślność moją bezbronność zdradzała. Kiedyś, gdym krzemień z mej flinty wyśrubował, by go nieco naostrzyć, nagle zaryczał na mnie straszliwy, olbrzymi niedźwiedź.

Wszystko, com mógł uczynić, to czym prędzej na drzewo wskoczyć i stamtąd sposobić się do obrony. Na nieszczęście, gdym się na drzewo wspinał, spadł mi na ziemię nóż, któregom właśnie używał, i oto nie miałem nic, aby przykręcić przy gwincie strzelby śrubę, która i tak się ciężko obracała. Pod drzewem stał niedźwiedź i mógł się każdej chwili tu do mnie wdrapać.

Nie chciało mi się znów z oczu iskier krzesać, jakem był to kiedyś uczynił, bo nie bacząc nawet na nieprzyjazne okoliczności, owa próba pociągnęła za sobą silny ból oczu, który mnie dotychczas jeszcze niezupełnie opuścił. Spoglądałem więc tęsknie na mój nóż, który tam, w dole, tkwił w śniegu na sztorc. Ale całe to tęskne spoglądanie nie pomogło mi ani trochę. W końcu strzelił mi do głowy niezwykły, a szczęśliwy pomysł. Skierowałem wprost na trzonek noża strumień płynu, którego w wielkim strachu ma się zawsze pod dostatkiem, a że mróz był wtedy wielki, płyn zamarzył w jednej chwili i lód wydłużył mój nóż aż do dolnych gałęzi drzewa. Chwyciłem za trzonek, który mi tak wybuchał, i ostrożnie, bez wielkiego trudu wyciągnąłem nóż ze śniegu. Zaledwie jednak przykręciłem nim śrubkę, niedźwiedzisko wdrapało się na drzewo.

— Zaprawdę, trzeba być mądrym jak niedźwiedź, by upatrzeć tak sposobną porę! — pomyślałem i uczęstowałem jegomością Burego kulami tak serdecznie, zem mu wspinanie się na drzewa wybił ze łba na wieki wieków.

Innym razem doskoczył do mnie straszliwy wilk tak niespodzianie, iż nie pozostawało mi nic innego, jak idąc za pierwszym odruchem wbić mu pieść w rozwarty pysk. Broniąc się, pchałem ją głębiej i głębiej, aż wepchnąłem ramię prawie że do wilczych łopatek. Cóż miałem czynić dalej? Trudno rzec, by mi to niewygodne położenie przypadło do smaku. Pomyślcie tylko! Skroń w skroń z wilkiem! Mierzyliśmy się wzrokiem, wcale nie tkliwie. Jeślibym tylko wyciągnął rękę z jego wąpki, skoczyłby mi, bestia, tym-ci zajadlej do gardła. Jasno i wyraźnie można to było z jego jarzących się ślepi wyczytać.

Co tu dużo gadać: chwyciłem go za trzewia i wykręciłem na wywrót jak rękawicę. Leż!

Nie mogłem jednak powtórzyć tej sztuczki z wściekłym psem, który wkrótce potem napadł na mnie w wąskim petersburskim zaułku.

— Nogi za pas! — pomyślałem. By łatwiej przed nim umknąć, zrzuciłem z siebie płaszcz i uciekłem do domu co sił w nogach.

Po czym rozkazałem moim lokajom przynieść mi płaszcz z powrotem i wraz z inną odzieżą powiesić w garderobie.

Nazajutrz napędził mi tęgiego stracha wrzask mego Jana:

— Na rany boskie, panie baronie! Płaszcz pana barona się wściekł!

Skoczyłem ku niemu co duch i widzę: cała moja odzież wala się po podłodze, porozrzucana na strzępy. Jan ani się na grosz nie omylił: płaszcz się wściekł. Właśnie gdym nadbiegał, rzucił się na mój paradny mundur i bez litości porwał go i poszarpał.

Dwa psy i jeden koń

Z tych wszystkich opresji, moi panowie, wyszedłem jednak, choć zwykle dopiero w ostatniej chwili, szczęśliwie. Wspomagał mnie bowiem los, który umiałem sobie zjednać moim męstwem i przytomnością umysłu. Te zalety, jak wiecie, cechują zawsze szczęśliwego myśliwca, żeglarza i żołnierza. Byłby to jednak wielce nieopatrzny, godny nagany łowca, admirał czy generał, który by się we wszystkim zdawał na los czy swoją szczęśliwą gwiazdę, a zaniedbał umiejętności i praktyk prowadzących do powodzenia.

Przecież przygana taka nie może tyczyć mnie, słycałem bowiem zawsze zarówno z mojej świetnej sfory i broni, jak i ze szczególnej zręczności, z jaką umiałem tę ich doskonałość wykorzystać. Chłubić się tedy mogę prawdziwie, że umieczniłem pamięć mego imienia wśród lasów, pól i łąk.

Nie będę się rozwodził o drobnych osobliwościach mojej stajni, psiarni czy zbrojowni, w czym się lubują jaśnie wielmożni koniarze, psiarze i myśliwi.

Dwa jednak psy tak się w służbie u mnie wyróżniły, że zawsze, więc i przy tej okazji, wspomnieć o nich muszę.

Pierwszy był to niez mordowany legawiec, tak posłuszny i ostrożny, że zazdrościł mi go każdy, kto go tylko zobaczył. Był przydatny zarówno w dzień, jak i w nocy: gdy bowiem noc nadchodziła, zawieszałem mu latarnię u ogona i mogłem z nim jeszcze lepiej polować niż przy świetle dnia.

Kiedyś, wkrótce po moim ożenku, małżonce mojej i zachciało się polowania. Wyjechałem naprzód wierzchem, by wypatrzeć jakąś zwierzynę w polu. Nie minęło i parę chwil, a mój pies wystawia stado ze stu, chyba kuropatw. Stanałem: czekam i czekam na małżonkę, która z moim porucznikiem i stajennym wkrótce po mnie wyjechać miała.

Nikogo ani widu, ani słyhu. Niepokój mnie wreszcie chwycił, zawracam więc i gdzieś w połowie drogi słyszę wielce żałośliwe skomlenie. Wydało mi się to całkiem niedaleko, choć

wokoło nie było widać żywej duszy. Zsiadłem więc z konia, przyłożyłem ucho do ziemi i nie dość że dolatuje do mnie z głębi lament, ale poznaję głos mojej małżonki, porucznika i stajennego. Wraz rozeznaję, iż opodal znajduje się kopalnia węgla i nie wątpię już ani przez chwilę, że moja nieszczęsna małżonka i jej świta do niej wpadli.

Puszczam się więc cwałem ku najbliższej wsi, aby sprowadzić górników, którzy po długiej, wielce mozolnej pracy w dziewięćdziesięciosążniowej głębokości szybu wreszcie nieszczęśników na światłość dzienną wydobyli.

Wyciągnęli najpierw stajennego, potem jego konia, potem porucznika, potem jego konia, potem moją małżonkę, a na końcu wreszcie jej turecką szkapę.

Rzecz osobliwa: w tym straszliwym upadku ludzie i konie nie ponieśli prawie żadnego szwanku oprócz paru małych zadraśnień. Tym więcej jednak najedli się nadzwyczajnego strachu.

Możecie sobie wystawić, że o żadnym polowaniu nie było już co myśleć. Prawie pewien jestem, żeście w czasie tej opowieści zdążyli zapomnieć o moim psie: nie bierzcie mi tedy za złe, że i ja o nim nie myślałem.

Obowiązki wymagały ode mnie, abym zaraz następnego ranka w podróż wyruszył. Powróciłem z niej dopiero po dwóch niedzielach. Byłem w domu zaledwie od paru godzin, gdym zauważył, że mojej Diany nie ma. Nikt się o nią nie zatroszczył, a teraz, ku memu wielkiemu strapieniu, nigdzie jej znaleźć nie było można. Wreszcie przyszło mi do głowy: a nuż pies wystawia jeszcze kuropatwy?

Strach i nadzieja pognały mnie w tę samą okolicę i patrzcie: pies, ku mojej niewymownej radości, stoi w tym samym miejscu, gdzie go przed czternastu dniami zostawił!

— Pyf! — krzyknąłem, pies skoczył i miałem dwadzieścia pięć kuropatw na strzał. Ale biedne zwierzę z największym trudem przyczołgało się do mnie: tak było zgłodniałe i wynędzniałe. Aby psa do domu zabrać, musiałem go na siodło wziąć, ale możecie sobie, moi panowie, łatwo wystawić, że na tę niewygodę z wielką radością się zgodziłem.

Po paru dniach troskliwej opieki psisko stało się znów rześkie i żwawe, a po paru tygodniach pomogło mi odgadnąć zagadkę, której, bez jego pomocy, nigdy by się rozwiązać nie dało.

Właśnie przez dwa tygodnie uganiałem się za pewnym zającem. Mój pies płoszył go, wodził wkoło, lecz ani razu nie udało mi się wziąć go na cel. Spotkało mnie w życiu nazbyt wiele osobliwych przypadków, abym był skory wierzyć w jakieś czarodziejstwa, ale prawdziwie trudno to było ludzkimi zmysłami ogarnąć.

Wreszcie jednak zając zapędził się 'tak, żem go zdołał ustrzelić. Padł i — co powiecie, panowie? — ujrzałem, że mój zając miał cztery łapy pod grzbietem, a cztery — na grzbiecie. Gdy mu się sfatygowały dwie dolne pary, obracał się na wznak jak zwinny pływak, co i na brzuchu, i na plecach pływać umie, i puszczał się dalej — hajda! — jeszcze bardziej rączo na wypoczętych łapach.

Nigdy potem nie spotkałem się już z takim zającem, a i tego nie byłbym oglądał, gdyby nie znakomite zalety mego psa. Przewyższał on bowiem we wszystkim swój ród i ani bym się zawahał nazwać go najpierwszym z psów, gdyby nie jeden z moich chartów, który także o ten honor mógł się ubiegać.

To bydlatko bardziej jeszcze niż uroda odznaczało się osobliwą rączością. Zachwycilibyście się, panowie, gdybyście je widzieli, i nie dziwiłoby was, że tak je kochałem i tak często brałem je z sobą na łowy.

Biegał ten chart w mojej służbie tak szybko, często i długo, że starł sobie nogi aż do brzucha i pod koniec życia służył mi już za jamnika przez parę ładnych lat.

Ongiś, gdy jamnik ten był jeszcze chartem — mimochodem powiedziawszy była to suka — puścił się więc za zającem, który mi się wydał gruby niezwykajnie. Żal mi się zrobiło mojej biednej suki, która była szczenna, a chciało jej się popisywać zwinnością. Ledwie

mogłem za nią konno w wielkiej odległości nadażyć. Z nagła usłyszałem ujadanie całej chyba sfory psów, lecz tak słabe i tkliwe, że od razu pojął, co to znaczy. Gdy jednak podjechał bliżej, ujrzał cud nad cudy. Zajęczyca porodziła w biegu małe zajaczki, a moja suka — oszczeniła się.

Do tego wszystkiego zajęcy było tyle, co psiaków. Gdy zajęce obyczajem zajęczym rzuciły się do ucieczki, suka ze szczeniętami nie tylko ją gonić, ale je i schwytała. Ja zaś pod koniec polowania, które zacząłem z jednym psem, miałem ich teraz sześć oraz sześć upolowanych zajęcy.

Wspominam tę niepowszednią sukę równie mile, jak mojego bezcennego i znakomitego litewskiego wierzchowca. Los mi go nadarzył, abym przy tej okazji okazał z niemąłą chwałą mą jeździecką sztukę. Właśnie wtedy w wielkich dobrach hrabiego Przebowskiego na Litwie bawił i zapijałem w salonach z damami herbatę, panowie zaś zeszli na podwórzec, by obejrzyć pełnej krwi źrebca, którego właśnie ze stajen wyprowadzono. Z nagła usłyszeliśmy wołanie o pomoc. Zbiegam po schodach na dół i widzę źrebca tak nieujeżdżonego i dzikiego, iż nikt do niego ani zbliżyć się, ani go dosiąść nie śmie. Najbardziej zdeterminowani * jeźdźcy stoją strwożeni i zmieszani, lęk i niepokój maści wszystkie spojrzenia, lecz ja jednym skokiem rzucam się na grzbiet konia i nie tylko tym niespodzianym skokiem go poskrwiam, ale przyprowadzam do posłuszeństwa i spokoju zażywając najlepszych forteli jeździeckiego kunsztu.

Aby popisać się przed damami i uwolnić je od wszelkiego niepokoju o moją osobę, zmusiłem konia, by ze mną przez okno do salonu wskoczył. Okrążyłem go parękroć to stępą, to kłusem, to galopem, wreszcie skoczyłem na stół i przerobiłem na nim pokrótce całą szkołę jazdy, co damy niezwykajnie ubawiło. Młody rumak pokazywał wszystkie sztuki nad podziw zgrabnie, tak że nie stukł żadnej filiżanki ani dzbanka. To postawiło mnie tak wysoko w łaskach dam i hrabiego, że ten z właściwą mu dwornością uprosił mnie, bym źrebca od niego przyjął w darze i na wyprawę przeciw Turkom, która wkrótce miała być pod dowództwem hrabiego Müncha rozpoczęta, po zwycięstwa i laury wyruszył. Przed wyprawą, w której spodziewałem się po raz pierwszy wykazać moje żołnierskie walory, trudno było o dar miłszy i wróżący mi więcej sukcesów. Koń tak uległy, tak rączy i tak ognisty — wraz Bucefał ** i jagniątko —: stawiał mi nieustannie przed oczy zarówno bohaterską powinność żołnierską, jak i niezwykle, bojowe czyny młodego Aleksandra.

Wyruszyliśmy na plac boju, aby, między innymi, honor rosyjskiego oręża, który w wyprawie cara Piotra nad Prut nieco był ucierpiał, do dawnego blasku przywrócić. Udało się to nam znakomicie w rozlicznych, uciążliwych, lecz wielce chlubnych bitwach, pod wodzą wielkiego feldmarszałka, o którym uprzednio wspomniałem.

Ludziom niższej rangi skromność zabrania przypisywać sobie znakomite czyny i zwycięstwa. Ich bowiem chwała zwykła iść na rachunek wielkich wodzów, o których zdatości rzecz by się dało to i owo, a zwłaszcza — dość opacznie przypisuje się ją monarchom i monarchiniom, co tylko na paradach proch wachają, w bitwach nigdy nie byli, a żołnierzy oglądają jedynie, gdy zaciągają wartę przed ich pałacem, nigdy zaś w bojowym szyku.

Nie roszczę sobie więc pretensji do sławy z powodu naszych chwalebnych starć z wrogiem. Czyniliśmy wszyscy swoją powinność, co w mowie obywatela i żołnierza, jednym słowem: każdego prawego człowieka, wyraża, znaczy i zawiera bardzo wiele, chociaż ci, co przy kawie zwykli politykować, marne i nędzne mają o tym pojęcie.

Ponieważ miałem pułk huzarów pod moją komendą, chodziłem z nimi na podjazdy, w których cała sprawność i taktyka zależały od mego własnego męstwa i rozumu, mam tedy prawo zapisać te sukcesy na rachunek mój i moich dzielnych towarzyszy, których wiodłem ku podbojom i zwycięstwom.

* zdeterminowany (z łac.) — tu: zdecydowany na wszystko

** Bucefał — nazwa ulubionego konia Aleksandra Wielkiego; przenośnie — koń okazały, ciężki

Kiedyś, gdyśmy wpędzili Turków do Oczakowa, gorąco było wielce w pierwszych szereгах. Mój ognisty litewski wierzchowiec o mało co nie zaniósł mnie wtedy do piekielnych otchłani. Stałem na odległych czatach, gdy nagle nieprzyjaciel zbliża się ku mnie w chmurze kurzawy. Nie mogłem przeto wypatrzeć ani jego liczby, ani zamiarów. Przesłonić się taką samą chmurą pyłu byłoby dla mnie wcale łatwą sztuczką, lecz wtedy nie dowiedziałbym się niczego więcej i zgoła nie byłbym bliższym celu, jaki miałem wykonać. Rozkazałem tedy moim flankierom * z obu skrzydeł rozproszyć się w lewo i w prawo i wzbic tyle kurzu, ile się tylko uda. Ja sam natomiast wyruszyłem wprost na nieprzyjaciela, by mu się przypatrzeć z bliska.

To mi się też udało, gdyż nieprzyjaciel trzymał się i walczył tylko tak długo, póki go przed mymi flankierami strach nie obleciał i nie zmusił do ucieczki w rozsypce. Nadeszła chwila, by wrogom spaść na kark! Rozbiliśmy ich w puch i przepędziliśmy nie tylko do twierdzy, ale — czegośmy się zgoła nie spodziewali i nie przewidzieli — dalej jeszcze. Ponieważ mój litewski wierzchowiec był bardzo rączy, pędziłem więc pierwszy w pościgu, a widząc, jak nieprzyjaciel pięknie przed nami ku bramie umyka, roztropnie postanowiłem zatrzymać się na rynku i otrąbić zbiórkę. Zatrzymałem się tedy i — pomyślcie, panowie — jakem się zdumiał, gdym spostrzegł, że nie ma wokół mnie ni żywego ducha: ani mego trębacza, ani żadnego innego huzara. — Czyżby się rozbiegli po ulicach? Co się z nimi stało? — pomyślałem. Wedle mego mniemania nie mogli być stąd daleko i rychło winni mnie dogonić. Wyglądając ich, podjechałem na moim zdyszonym koniu ku studni na rynku, aby go napoić. Pił bez miary, łapczywie, zdawało się, że nigdy nie zdoła ugasić pragnienia. Nie było w tym nic przeciwnego naturze, ale gdym się za moimi huzarami obejrzał, wiecie, panowie, com zobaczył? Zad, grzbiet i lędźwie biednego zwierzęcia były oderwane, i to tak, jakby je kto równo odciął. Nieszczęsne konisko nie mogło się ani orzeźwić, ani pokrzepić, bo ile wody nabrało do przodu, tyle wylewało się zeń tyłem.

Nie mogłem pojąć, jak to się stało, gdy nagle z przeciwnej strony wypadł na mnie mój ordynans i zasypawszy mnie gradem płynących z serca powinszowań wyłożył mi rzecz całą, nie żałując krzepkich przekleństw.

Gdym wmieszał się w tłum uciekających nieprzyjaciół — opowiedział mój ordynans — opuszczono z nagła zaworę w bramie, która zad koniowi memu odcięła. Wśród nieprzyjaciół, którzy, ślepi i głusi ze strachu, dopadli bramy, wierzgający bez przestanku zad koński uczynił straszliwe spustoszenie, po czym ruszył, zwycięski, na pobliską łąkę, gdzie go jeszcze zapewne napotkać można.

W te pędy zawróciłem i rączym galopem na połowie wierzchowca, która mi jeszcze pozostała, puściłem się na łąkę. Uradowałem się wielce, gdym tu zaraz drugą połowę jego znalazł i gdym się dowodnie przekonał, iż obie połowy mego konia są żywe. Przywołałem tedy co duch naszego konowała. Ten, nie namyślając się długo, zeszył obie części pędami wawrzynowymi, które właśnie miał pod ręką.

Rana zagoiła się szczęśliwie, po czym zdarzyła się rzecz niepowszednia, która przytrafić się mogła tylko tak sławnemu wierzchowcowi. Pędy wawrzynu zapuściły korzonki w grzbiet koński, wyrosły w górę i ocieniły mnie jak altana. Odtąd mogłem używać przejażdżek pełnych uroku w cieniu laurów: moich i mego konia.

Wspomnę jeszcze o pewnej wynikłej z tej sprawy niedogodności. Rąbałem nieprzyjaciół tak długo, tak krzepko i tak niezmordowanie, iż moje ramię, mimo woli, wciąż czyniło ruch rębacza, choć już nieprzyjaciel był dawno za górą. Abyśmy ja i moi ludzie nie brali cięgów za nic, byłem zmuszony obwiązać sobie rękę i nosić ją na temblaku, jakby mi jej połowę odrąbano.

* flankierzy (z franc.) — żołnierze z jazdy wysłani do ataku w rozsypce przed kolumnami wojsk

Jazda na kuli armatniej, podróż na księżyc i inne niezwykłe przypadki

Kawalerowi, który by chętnie dosiadł takiego, jak mój litewski wierzchowiec, konia, możecie, panowie, zawierzyć jeszcze i taką jeździecką sztuczkę, choć może zda się wam ona czarodziejską, niezwykłą banialuką.

Oblegaliśmy wtedy, nie pomnę już jakie, miasto i naszemu feldmarszałkowi wielce o to chodziło, by dowiedzieć się, co się dzieje w fortecy. Rzecz była trudna, niemożliwa prawie, jakże bowiem przedrzeć się do fortecy poprzez wszystkie czaty, straże i mury obronne? Tym bardziej że nie było takiego chwata, co by się na taką rzecz ważył. Pełen męstwa i żołnierskiej gorliwości stanąłem natychmiast — kto wie, czy nie nazbyt prędko? — przy jednym z największych działań. A że dawano właśnie do twierdzy ognia, wskoczyłem w okamgnieniu na kulę armatnią, aby mnie do twierdzy przeniosła. Właśnie byłem w połowie drogi, w powietrzu, gdy opadły mnie wątpliwości niemałej wagi. Hm... łatwo się tam dostać, ale jak się wydostać z powrotem? Zaraz przecież wezmą mnie za szpiega i powieszą na pierwszej lepszej gałęzi. A nie życzyłem sobie, by mnie taki honor spotkał.

Po takich i podobnych rozważaniach szybko powziąłem pewne postanowienie i skorzystałem ze szczęśliwej sposobności, gdy kula armatnia z fortecy leciała o parę kroków przede mną, ku naszemu obozowi. Przeskoczyłem z kuli na kulę i, wprawdzie nie spełniwszy zadania, lecz zdrow i cały, powróciłem do kochanych towarzyszy broni.

Równie jak ja biegle i zwinny w skokach był mój koń. Ani rów, ani płot żaden nie zmusił go, by z prostej drogi zoczył. Kiedyś puściłem się na nim za zającem, który przebiegał w poprzek szerokiego traktu. Karoca z dwoma pięknymi damami jechała właśnie drogą i znalazła się między mną a zającem. Mój koń przeskoczył tak szybko na przestrzal przez karocę, w której szyby były właśnie podniesione, i to nawet o nic nie zawadziwszy, żem ledwie zdążył zerwać z głowy kapelusz, by siedzące w karecie damy za tę śmiałość w przelocie uniżenie przeprosić.

Innym znów razem chciałem przesadzić bagno, które mi się na pierwszy rzut oka nie zdało tak szerokie, jak mogłem się o tym przekonać, gdy w połowie skoku nad nim się znalazłem. Szybując w powietrzu, obróciłem się tedy w tę stronę, skąd się do skoku porwałem, aby wziąć większy rozpęd. Dałem znów susa, który i tym razem okazał się za krótki, tak iż wpadłem w bagno aż po szyję. Utonąłbym niechybnie, gdyby nie moja siła. Trzymając bowiem konia krzepko kolanami, wyrwałem się z bagna, ciągnąc się za własny harcap ręką.

Mimo mego męstwa i rozumu, mimo mojej i mego konia rącości, zwinności i siły nie wszystko się na wojnie tureckiej tak powiodło, jak sobie tego życzyć było można. Spotkało mnie tam nieszczęście: otoczony przez wrogie hordy, dostałem się do niewoli. Co gorsza: wedle tureckiego obyczaju, sprzedano mnie jako niewolnika. W tym stanie pohańbienia codzienna moja praca była nie tylko twarda i gorzka, ale również osobliwa i przykra. Musiałem bowiem pszczoły sułtana co rano na łąki wyganiać, paść je cały dzień, a pod wieczór zapędzać z powrotem do uli. Któregoś wieczora gdzieś mi się zapodziała jedna pszczoła. Przekonałem się niebawem, że napadły ją dwa chciwe miodu niedźwiedzie i zabrały się do niej z pazurami. Nie miałem przy sobie nic, co choćby przypominało broń, z wyjątkiem srebrnej siekiery, oznaki sułtańskiego sługi i ogrodnika. Rzuciłem tedy tę siekiere na obie bestie, aby je przepłoszyć. Uwolniłem przez to biedną pszczołę, lecz — na nieszczęście, dzięki zbyt silnemu zamachowi mego ramienia, siekiera uleciała w górę i oto wznosiła się wyżej i wyżej, aż wreszcie spadła na księżyc. Jakiejże potrzeba byłoby drabiny, by ją odzyskać? Wtedy to przyszło mi do głowy, że fasola turecka nad podziw szybko i wysoko w górę rośnie. Nie myśląc wiele zasadziłem więc takie fasolowe ziarnko. I rzeczywiście: wyrosło wnet w górę i zaczepiło się nawet łodygą o jeden z księżycowych rogów. Zbywszy się więc troski, jąłem się po niej

do księżycy wspinać, co mi się też szczęśliwie udało. Zgoła niełatwa to była sprawa odnaleźć w stronach, gdzie wszystko skrzy się srebrzyście, srebrną siekierę! Wreszcie znalazłem ją przecież w kupie plew i trocin. Wtedy chciałem już wracać, ale — do licha! — żar słoneczny wysuszył tak łodygę fasoli, że zejść po niej było nie sposób! Co miałem czynić teraz? Uplotłem z trocin powróż tak długi, jak się tylko dało, przymocowałem go do księżycowego rogu i opuściłem się na nim. Prawą ręką trzymałem się powroza, w lewej dzierżyłem siekierę. Za każdym razem, gdym się opuścił co nieco, odcinałem siekierą zbędny już kawałek powroza nad sobą i dowiązywałem go pod sobą, niżej; w ten sposób zsunąłem się o dobry kawał w dół. To obcinanie i przywiązywanie nie mogło wszakże dodać siły powrowi i sprowadziło mnie od razu z powrotem do sułtańskich majątkości. Byłem jeszcze pewno parę mil nad ziemią, w chmurach, gdy mój powróż pękł i runąłem na naszą ziemię tak gwałtownie, że byłem całkiem ogłuszony. Ciało moje, które spadło z tak wysoka, całym swoim ciężarem wbiło się w ziemię, drażąc w niej dziewięciosążniową dziurę. Gdym niebawem przyszedł do siebie, nie wiedziałem ani rusz, jak się z niej wydostać. W tej biedzie cóż mogłem więcej uczynić, jak paznokciami, które mi w ciągu czterdziestu lat życia dobrze wyrosły, wykopać w ziemi stopnie, po których szczęśliwie na światło dzienne się wydobyłem.

Mądrzejszy o to ciężkie doświadczenie wziąłem się ostro do niedźwiedzi, aby się ich pozbyć, dobierały się bowiem chciwie do moich pszczoł i uli. Nasmarowałem tedy dyszel drabiniastego wozu miodem, a sam nocą zacciałem się opodał. Stało się, czegom się spodziewał: olbrzymi niedźwiedź przywabiony wonią miodu zbliżył się do dyszla i zaczął go lizać tak łapczywie, że przeliczał sobie cały drąg poprzez przełyk, żołądek, kiszki, aż do samego tyłu, na wylot. Gdy się tak pięknie sam na dyszel nadział, podbiegłem doń, przetknąłem otwór przy końcu dyszla długim kołkiem i tak, odciawszy odwrót łasuchowi, zostawiłem go przy wozie do świtu.

Z tej to sztuczki Wielki Sułtan, który opodał używał przechadzki, uśmieł się do rozpu-ku.

Wkrótce potem Rosja zawarła pokój z Turkami, zostałem wypuszczony z niewoli i wraz z innymi jeńcami odesłany do Petersburga. Wziąłem abszyt * z wojska i opuściłem Rosję w czasie wielkiego spisku, kiedy to nieletni car wraz z ojcem, matką, księciem brunszwickim, marszałkiem Münchem i wielu innymi został na Sybir wysłany.

W całej Europie wtedy ścisnęły tak ostre mrozy, że i słońce od nich ucierpiało i po dziś dzień jeszcze słabuje.

W powrotnej drodze do mego kraju rodzinnego doznałem niemałych przykrości, większych, niż gdym do Rosji podróżował. Ponieważ mój litewski rumak pozostał był w Turcji, zmuszony byłem powracać karocą pocztową. Zdarzyło się, że jechaliśmy po wąskiej drodze, obsadzonej wysokimi cierniowymi krzakami, zwróciłem więc poczytlionowi uwagę, że powinien trąbić na rogu swoją pobudkę, aby się na tym wąskim trakcie z jakimś, z przeciwnej strony nadjeżdżającym pojazdem, nie zderzyć. Chłopak wznosił róg do ust i zadał weń ze wszystkich sił, ale na nic poszedł cały jego trud: ani jeden dźwięk — rzecz nie do pojęcia — nie wydobył się z rogu! Było to prawdziwe nieszczęście, gdyż rzeczywiście wnet nadjechał z przeciwnej strony powóz. Nie mogliśmy się już niestety z nim wyminąć i wpadliśmy na siebie.

Nie bacząc jednak na nic, wyskoczyłem i, wyprząc się najsampierw konie, pochwyciłem karocę wraz z jej czterema kołami i tobołami podróżnymi na ramiona, po czym dałem z nią susa poprzez rów i przydrożne cierniowe krzaki, na pięć stóp mniej więcej wysokie — wprost na pole! Nie była to zaiste drobnostka, zważywszy ciężar karocy. Gdy obcy pojazd potoczył się dalej, skoczyłem z powrotem na drogę, podbiegłem do naszych koni, chwyciłem każdego z nich pod jedno ramię i podobnym sposobem — dwukrotnym skokiem tam i z

* abszyt (z niem.) — uwolnienie, dymisja

powrotem — powróciłem z nimi na miejsce. Po czym rozkazałem pocztylionowi zaprząć i zajęchałem szczęśliwie do gospody.

Dodać trzeba, iż jeden z koni, wielce rączy czterolatek, dopuścił się przy tej okazji pewnej zdrożności: parskał i wierzgał tak, iż w gwałtownym wstrząsie wymknęło mu się coś nieprzystojnie. Ukróciłem jednak jego humory wsadziwszy obie jego tylne nogi w kieszeń mego kabata.

W gospodzie przyszliśmy wkrótce wszyscy do sił po naszych przygodach. Pocztylion zawiesił róg na ścianie opodal kuchennego ogniska, ja zaś usiadłem naprzeciw niego.

A teraz — posłuchajcie, panowie, co się stało! Z nagła zabrzmiało: Tra-ra! Tra-ra-ra! — Otworzyliśmy oczy szeroko i nagle pojęliśmy, w czym rzecz: pocztylion wtedy nie mógł wydobyć ze swego rogu ani jednego dźwięku, te bowiem zamarły w rogu, a teraz, tając po trochu, wydobywały się zeń jasne i czyste, ku niemałej chwale pocztyliona. Pocziwa dusza bawił nas teraz przez czas dłuższy, nie przykładając nawet rogu do gęby, piękną muzyką. Usłyszeliśmy tedy marsz pruski i „Ach, bez miłości i bez wina...”, „Gdy legnę na całunie”, „Był tu u nas kum Michał, gdy słońeczko zaszło” — i wiele innych śpiewek, a nawet i pieśń wieczorną: „Usnął już bór...”, co zakończyło ten odtajały koncert, a także kończy opowieść o mojej rosyjskiej podróży.

Niektórzy podróżni widzą niekiedy więcej niż to, co — rzecz ściśle biorąc — naprawdę istnieje. Nie dziwcie się więc, gdy poniektórzy słuchacze czy czytelnicy skłaniać się będą ku niejakiemu wątpliwościom. Gdyby zaś ktoś z tej zacnej kompanii wątpił w moją prawdomówność, żałuję go serdecznie, tudzież proszę, aby się oddalił, nim prawić zacznę o moich żeglarskich przygodach. Te są bowiem jeszcze bardziej niezwykłe, choć równie prawdziwe.

Pierwsza przygoda morska

Pierwszą moją w życiu podróżą była podróż morska: wybrałem się w nią na długo przed podróżą do Rosji, o której opowiedziałem wam co nieco ciekawostek.

Jeszcze wtedy, jak zwykł dowcipkować mój wuj, czarnowłosy brodac, pułkownik huzarów, byłem niewypierzony i trudno było orzec, czy jasny meszek na mojej twarzy to puszek rosnących piórek, czy kielkująca broda, gdy już marzeniem mego serca były podróże.

Że mój ojciec parę swoich młodych lat strawił na podróżach i lubił skracać nam wieczory zimowe prostymi i nieozdobnymi o nich opowiadkami, z których część postaram się wam przekazać najlepiej, jak potrafię, przeto tę moją do podróży skłonność można uważać zarówno za wrodzoną, jak i za nabytą. Tak czy owak czepiałem się każdej złej czy dobrej okazji, by prośbą czy uporem zaspokoić moją nieposkromioną żądzę poznania świata: wszystko jednak na próżno.

Gdy mi się powiodło zmiękczyć nieco ojca, ostro stawały wbrew matka z ciotką i za chwilę wszystko, com wywalczył w dobrze przygotowanym ataku, znowu przepadało. Na szczęście zdarzyło się, że przyjechał do nas w odwiedziny pewien krewniak ze strony matki. Wkrótce stałem się jego ulubieńcem. Powiadał nieraz, że ładny i dzielny ze mnie chłopak, i czynił wszystko, co było w jego mocy, aby zaspokoić moje tęsknoty i marzenia. Że był bardziej niż ja wymowny, po wielu dowodach, wątpliwościach, racjach i sprzeciwach zostało wreszcie postanowione ku mojej najwyższej radości, że będę mu towarzyszył w podróży na wyspę Cejlon, gdzie mój wuj był przez wiele lat gubernatorem. Wypłynęliśmy z Amsterdamu, zaszczyceni doniosłymi poleceniami Generalnych Stanów Niderlandzkich. W podróży naszej nic nas szczególnie nie spotkało oprócz nadzwyczajnej burzy. Tedy muszę o niej

wspomnieć choć w paru słowach, a to ze względu na jej podziwu godne skutki. Burza ta rozpełtała się, gdyśmy zarzucili kotwicę u brzegów jednej wyspy, aby uzupełnić nasze zapasy wody słodkiej i drzewa. Rozszalała się z taką mocą, iż wyrwała z korzeniami mnóstwo olbrzymich, ogromnej grubości drzew i cisnęła je wysoko w powietrze. Choć niektóre z nich miały ponad sto cetnarów wagi, to na tych niezmiernych wysokościach, uniosły się bowiem aż na pięć mil z górą, zdawały się mniejsze od piórek ptasich, które nieraz w powietrzu fruwały. Tymczasem orkan ucichł i drzewa pospadały z góry na dół, prosto na dawne miejsca, od razu wypuszczając korzenie. Tak że wokół nie dojrzałeś nawet śladu zniszczenia. Jedynie z największym drzewem stało się inaczej. Gdy Burza wybuchła z nagłą siłą i z ziemi je wyrwała, siedział właśnie na jego gałęziach chłop ze swoją żoną i oboje zrywali ogórki, które w tej części świata na drzewach rosną.

Pocziwa para wieśniaków spokojnie żeglowała na drzewie po przestworzach, niczym pan Blanchard na swoim balonie zwanym „Baranek”. Obciążyła jednak drzewo i stała się przyczyną, iż zbczyło ono z drogi i, na bok się przechyliwszy, spadło.

A że właśnie wówczas Najmiłościwszy Naczelnik plemienia, który, jak większość wyspiarzy, opuścił w czasie burzy swoje pomieszkane, aby nie zginąć pod gruzami, teraz przez swój ogród do domu wracał, został trafiony przez spadające drzewo i, na szczęście, na miejscu padł trupem. Na szczęście? Tak, właśnie na szczęście, moi panowie!

Był to bowiem najbardziej plugawy z tyranów, a mieszkańcy wyspy, nie wyłączając jego faworytów, największe pod słońcem biedaki. W spichrzach Naczelnika zapasy żywności gniły, a poddani, którym żywność ta była zrabowana, nie dostawali z tego nic i mdleli z głodu.

Choć wyspie znikąd nie zagrażał żaden nieprzyjaciel, Naczelnik, nie bacząc na to, brał młodych chłopaków do wojska i własnoręcznie ćwiczył pałką, aż wyćwiczył ich na bohaterów. A potem co jakiś czas sprzedawał ich całą kupą temu z sąsiadujących ksiąząt, który płacił najwyższą cenę, aby do odziedziczonych po ojcu milionów muszel jeszcze dalsze miliony dokładać.

Mówiono mi, że te o pomstę wołające zasady przywiózł z pewnej podróży na północ. Nie mogliśmy jednak temu twierdzeniu się przeciwstawić, już choćby dlatego, że u tych wyspiarzy podróż na północ oznacza zarówno podróż na Kanaryjskie Wyspy, jak i przejazdkę do Grenlandii. Bardziej sprecyzowanych objaśnień zaś nie chcieliśmy z wiadomych względów żądać.

Małżeństwo zbierające na drzewie ogórki za nie lada jaką, choć mimowolną przysługę, którą współobywatelom oddało, zostało przez nich wprowadzone na tron po Naczelniku. Wprawdzie pocziwi ludziska w swej napowietrznej podróży zostali tak bardzo oświeceni przez słońce, że ich wzrok, a wraz z nim i wewnętrzne ich światło, trochę przygasły, lecz, jak się potem dowiedziałem, panowali w wielkiej chwale i każdy, kto tylko jadł ogórki, zawsze przy tym wypowiadał słowa: „Niech Bóg zachowa nam króla!”

Gdyśmy naprawili nasz okręt, który od owej burzy niemało był ucierpiał, pożegnawszy nowego Naczelnika i jego małżonkę wypłynęliśmy ze sprzyjającym wiatrem i po sześciu tygodniach przybyliśmy szczęśliwie na wyspę Cejlon.

Od naszego przybycia upłynęło chyba ze dwie niedziele, gdy poprosił mnie syn gubernatora, abym z nim wybrał się na łowy, na co chętnie przystałem. Był to człowiek krzepki, wytrzymały na upały panujący w tych stronach, alem ja wkrótce tak osłabł, choć się zbytnio nie wysilałem, że gdyśmy weszli w las, pozostałem za nim daleko w tyle.

Właśnie chciałem przysiąść i odpocząć na brzegu rwącego potoku, który już od niejakiego czasu zwrócił moją uwagę, kiedym posłyszał szmer jakiś na mojej drodze. Obejrzałem się i prawie skamieniałem. Zobaczyłem bowiem straszliwego lwa. Szedł prosto na mnie i pojąłem jasno, że o pozwolenie nie prosząc, chce najłaskawiej pożreć mnie na śniadanie.

Strzelba moja była naładowana śrutem na zające. Nie czas było jednak na przydługie

namysły w tej srogiej opresji, postanowiłem tedy dać ognia do bestii, mając nadzieję, że lwa spłoszę lub nawet zranię. Nie zdążyłem jednak dobrze wycelować, tak że tylko lwa rozwścieczył, i zwierzę skoczył na mnie z zaciekłością. Bez zastanowienia, mimo woli, rzuciłem się do niemożliwej zda się ucieczki. Odwróciłem się od lwa i — dreszcz mi przelatuje po karku na samą myśl o tym po dziś dzień! — ujrzałem o parę kroków przed sobą paskudnego krokodyla, który już rozwarł swą straszną paszczę, aby mnie połknąć.

Wyobraźcie sobie, panowie, tę okropną okoliczność! Za mną — lew. Przede mną — krokodyl. Na lewo — rwący potok. Na prawo — przepaść, a w niej, jak mi o tym później powiedziano: najjadowitsze w świecie węże! Ogłupiałem, co w takim położeniu przytrafić się mogło i Herkulesowi — po czym przypadłem do ziemi. Tylko to błysło mi w głowie: — Czekajże, bratku! Albo poczujesz kły rozjuszonego drapieżnika, albo przytrzaśnie cię paszcza krokodyla!

Ale w tym momencie usłyszałem głosny i całkiem nieoczekiwany chrzęst. Ośmieliłem się unieść głowy i — co powiecie, panowie? — ujrzałem ku mej niewymownej radości, że rozjuszony lew rzuciwszy się na mnie wtedy akurat, gdy do ziemi przypadłem, w rozpędzie dał susa nade mną — wprost w paszczę krokodyla! Teraz łeb jego tkwił w gardzieli krokodyla i szarpali się przód i w tył, chcąc się od siebie odczepić.

Zerwałem się w samą porę! Wyciągnąłem mój kordelas i jednym zamachem odrąbałem łeb lwu. Drgające cielsko zwało mi się do nóg. Potem końcem mojej strzelby wepchnąłem łeb lwi tak głęboko w paszczę krokodyla, aż ten zadławił się i nędzną śmiercią zginął.

Wkrótce po tym tak znakomitym nad dwoma straszliwymi przeciwnikami zwycięstwem nadszedł mój towarzysz, wielce ciekaw, co mnie tak długo zatrzymało. Po obopólnych powinnowaniach zmierzylśmy krokodyla i przekonaliśmy się akuratnie, że miał długości czterdzieści stóp i siedem cali.

Gdy gubernator dowiedział się z naszej opowieści o tej niezwykłej przygodzie, posłał wóz i ludzi po oba zwierzęta. Kuśnierz-tubylec wyprawił mi z lwiej skóry kapciuch, z któregoś świadczył potem poniekórym moim cejlońskim przyjaciołom. Resztę skóry zaś podarowałem, do Holandii powróciwszy, tamtejszym burmistrzom, którzy z wdzięczności za to chcieli mi uczynić gwałtem dar z tysiąca dukatów, od czego się z trudem tylko wymówiłem. Skóra krokodyla wypchana wedle wszelkich prawideł sztuki jest osobliwością muzeum w Amsterdamie, a przewodnik po nim zwykł każdemu zwiedzającemu przygodę moją opowiadać. Za każdym jednak razem pozwala sobie dołożyć do niej to i owo, na czym niemało cierpi prawda i wiarogodność tego zdarzenia. Rozpowiada chętnie, że lew przedarł się skokiem skoś krokodyla, a *monsieur* — ów sławny na cały świat pan baron, tak bowiem zwykł mnie nazywać — odrąbał mu łeb, gdy lew go tylko wychylił, a wraz ze łbem i kawał krokodylego ogona, na trzy stopy długi. Na co krokodyl — baje ten obwieś dalej — nie chcąc być nic dłużny za tę stratę, obrócił się, wyrwał kordelas myśliwski z ręki *monsieur* i połknął go tak zapalczywie, iż ten przejechał przez sam środek serca potwora i zabił go na miejscu.

Pojmujecie, panowie, jak wielce mierzi mnie bezwstyd tego szelmy! Ci, którzy mnie nie znają, gotowi, słysząc te jawne łgarstwa, zwątpić w prawdziwość moich czynów, zwłaszcza w tych czasach powszechnego niedowiarstwa.

A to byłoby nie lada zniewagą i obelgą dla człowieka honoru!

Druga przygoda morska

W roku 1776 wsiadłem w Portsmouth na najprzedniejszy angielski okręt wojenny, który właśnie wyruszał w podróż do Północnej Ameryki. Miał on na pokładzie sto armat i tysiąc czterystu ludzi załogi. Mógłbym opowiedzieć wam, panowie, niejedno o tym, co mnie w Anglii spotkało. Na potem to jednak odkładam, a teraz wspomnę tylko mimochodem o miłym dla mnie zdarzeniu: miałem przyjemność oglądać króla, gdy do parlamentu w swej królewskiej karocy z wielką paradą jechał. Woźnica z wielce dostojnym brzuchem, na którym widniał wyhaftowany herb angielski, siedział godnie na koźle i wyraźnie i kunsztownie palił z bata: „Wiwat Jerzy Król!”

Co się zaś naszej morskiej podróży tyczy, nic nas niezwykłego nie spotkało, póki nie znaleźliśmy się w odległości około mil trzystu od Rzeki Świętego Wawrzyńca. Tu uderzył nasz okręt z niezwykłą siłą o coś, co nam się wydawało rafą. Nie mogliśmy jednak zgruntować dna, choć opuściliśmy sondę na pięćset sążni w głąb. A tym dziwniejsze i niemal cudowne zdało się nam przy tym to, że zgubiliśmy nasze pióro sterowe, nasz bukszpryt rozpękł się na dwoje, inne maszty pękły od góry do dołu, a dwa z nich runęły nawet za burtę.

Nieszczęsny marynarz, który właśnie w górze wielki żagiel zwijał, zleciał z masztu i spadł do morza co najmniej o pięć mil od okrętu. Na szczęście jednak biedak uratował się, chwyciwszy się w locie ogona morskiej gęsi, co nie tylko zmniejszyło gwałtowność upadku, ale i pozwoliło mu siedząc na grzbiecie ptaka, a raczej między jego szyją a skrzydłami, żeglować tak długo, aż go na pokład z powrotem wciągnęto.

Siły uderzenia naszego okrętu o podwodną rafę dowodzi jeszcze i to, że ludzie pomiędzy pokładami się znajdujący ze straszną siłą ciśnięci zostali o pułap. Czego skutek był taki, iż im i mnie głowę do wewnątrz wgniotło, aż do brzucha, i trzeba było paru miesięcy, by się z powrotem na dawne, przynależne sobie miejsce wydostała.

Byliśmy jeszcze wszyscy otumanieni i niewypowiedzianie zadziwieni, gdy nagle ukazanie się wielkiego wieloryba, który się na powierzchni morza w słońcu zdrzemnął, całą rzecz wyjaśniło. Potwór nierad, żeśmy, okrętem go stuknąwszy, drzemkę mu przerwali, nie dość, że nam ogonem mostek i część górnego pokładu zwalił, ale, chwyciwszy w zęby wielką kotwicę, jak zwykle umieszczoną przy sterze, puścił się z naszym okrętem na wody i robiąc po sześć mil na godzinę ledwo się po sześćdziesięciu milach zatrzymał. Bóg raczy wiedzieć, dokąd by nas zawłókł, ale — na szczęście! — lina kotwiczna pękła i wieloryb zgubił okręt, a my — naszą kotwicę. Kiedyśmy jednak, po pół roku, z powrotem do Europy żeglowali, parę mil od tegoż miejsca natknęliśmy się na martwego unoszonego przez fale wieloryba. Na oko mierzył chyba z pół mili.

Że z tak wielkiego zwierza nie mogliśmy wiele na pokład zabrać, spuściliśmy łodzie, obciąiliśmy mu z niemałym trudem łeb i z wielką uciechą znaleźliśmy nie tylko naszą kotwicę, ale i czterdzieści sążni liny w dziurawym zębie z prawej strony wielorybiej paszczęki. Był to jedyny niezwykły przypadek, który nam się w tej podróży przytrafił. Ale! Ale! Czekaćcież, panowie! Byłbym jeszcze zapomniał o pewnym niefortunnym zdarzeniu! Gdy w czasie pierwszego spotkania wieloryb gnał po falach z naszym okrętem, wybił w nim dziurę i woda wdarła się weń tak gwałtownie, że nawet puściwszy w ruch wszystkie pompy nie uratowaliśmy się i poszli na dno w niespełna pół godziny. Szczęście, że pierwszy odkrył tę biedę! Dziura była wielka, przez środek ją mierzając, miała chyba ze stopę szerokości. Starłem się ją zatkać na wszelkie sposoby: wszystko daremnie. Wreszcie strzelił mi do głowy najlepszy w świecie: dzięki niemu udało mi się uratować od zguby ów piękny okręt i jego liczną załogę. Choć dziura była niemała, wypełniłem ją doszczętnie moją sempiterną, i to nie ściągając spodni. Udałoby mi się to niezawodnie, nawet i gdyby dziura była o wiele większa.

Niech was to jednak nie dziwi, moi panowie: wiedzcie, że tak ze strony ojca, jak i matki mam przodków krwi holenderskiej, a przynajmniej pokrewnej jej krwi westfalskiej.

Wprawdzie moja pozycja, gdym tak na tej luce siedział, była nie do pozazdroszczenia, wkrótce jednak wybawił mnie z niej cieśla swoją sztuką.

Trzecia przygoda morska

Kiedyś na Morzu Śródziemnym groziło mi wielkie niebezpieczeństwo. Gdym bowiem, opodal Marsylii, w pewne letnie popołudnie błogo zażywał kąpieli, ujrzałem olbrzymią rybę z rozwartym szeroko pyskiem, sadzącą na mnie z wielką szybkością. Nie było czasu do stracenia, aby się od tego morskiego potwora uratować. Natychmiast sprężyłem się w sobie, ile mogłem, ręce przycisnąłem do tułowia, a nogi wyprostowałem, jak się dało. Taką przybrawszy postawę, prześliznąłem się pomiędzy szczękami ryby prosto do jej brzucha. Tu spędziłem nieco czasu, jak się łatwo domyślić — w całkowitych ciemnościach, lecz we wcale miłym ciepłku. Żem rybie gniesienie w dołku raz po raz sprawiał, rada była się mnie pozbyć. Nie zbywało mi w brzuchu rybim miejsca: wyczyniałem więc hopki, skoki i inne figlasy.

Nic przecież ryby tak nie zaniepokoiło, jak gdym szybko przebierając nogami spróbował tańcować szkockiego. Krzyknęła wtedy straszliwym głosem i dźwignęła się połową swego cielska prawie prostopadle ponad wodę.

Wówczas ujrzała ją załoga przepływającego właśnie okrętu włoskiej floty handlowej i w kilka minut przeszła rybę harpunami. Gdy tylko zdobycz na pokład wciągnięto, posłyszalem naradę włoskich marynarzy, jak rybę rozciąć, by jak najwięcej mieć z niej tłuszczu. Żem po włosku rozumiał, srogi mnie obleciał strach, aby mnie ich noże razem z rybą nie przekrajały. Przeto stanąłem w samym środku rybiego brzucha, gdzie było dość miejsca i dla tuzina ludzi, bom sobie umyślił, że muszą zacząć krajać rybę albo od samego przodu, albo od samego tyłu. Lecz strach mój prędko się ulotnił, gdyż rozplatali ją poczynając od podbrzusza. Gdy tylko zamajaczyło mi trochę światła, krzyknąłem ku nim, ile sił w piersi, że miło mi oglądać tak miłych panów i zawdzięczać im uwolnienie z miejsca, gdzie, się o mało nie uduślił.

Jakże mi żywo i barwnie przedstawić wam to zdumienie, panowie, które na wszystkich twarzach się odmalowało, gdy ozwał się głos ludzki z wnętrza ryby? Zdumienie to wzmogło się jeszcze, gdy ujrzeli golusieńkiego człowieka wychodzącego z ryby. Krótko mówiąc, panowie, opowiedziałem im, jak wam teraz opowiadam, całe to zdarzenie, na co wszyscy niemal nie popadali ze zdumienia. Gdym coś niecoś lyknał na pokrzepienie, dałem susa do morza, aby się nieco opłukać, i popłynąłem po moje ubranie, które znalazłem na brzegu, gdzie je pozostawił. Wedle mego obliczenia byłem uwięziony w brzuchu tej bestii — bez mała półtorej godziny.

Czwarta przygoda morska

Gdym jeszcze był na tureckiej służbie, lubiłem wypływać dla rozrywki w łodzi na morze Marmara i cieszyć się stąd wdzięcznym widokiem Konstantynopola i sułtańskiego pałacu.

Któregoś ranka, gdym się w piękne, pogodne niebo wpatrywał, ujrzałem w powietrzu

jakiś kragły, wielkości kuli bilardowej przedmiot, z którego coś zwisało w dół. Pochwyciłem moją najcenniejszą strzelbę — ptaszniczkę, bez której nigdy w lądową czy morską podróż nie wyruszam. Naładowałem ją jedną kulą i dałem ognia w powietrze do tej okrągłej rzeczy. Chybiłem jednak. Palnąłem tedy drugi raz dwoma kulami naraz i znów spudłowałem. Trzeci raz dopiero, gdy cztery czy pięć kul naładowałem, przedziurawiłem z boku ten przedmiot, który ją opadać. Wyobraźcie sobie, jakem się zdumiał, gdy, nie dalej niż o dwa sążnie od mojej łodzi, opuścił się złocony powabnie koszyk, uwiązany do olbrzymiego balonu, większego niż największa kopuła na największej wieży! W koszyku znajdował się człowiek i pół barana, zdaje się pieczonego. Po pierwszym zdumieniu ja i moi ludzie otoczyliśmy człowieka z baraniną ścisłym kręgiem.

Wyglądał na Francuza i był nim w samej rzeczy. Z każdej jego kieszeni zwisało po kilka wspaniałych łańcuchów od zegarków z brelokami, na których zdawało mi się, że poznałem wymalowane podobizny dam i panów. Przy każdej dziurce od guzika miał zawieszony złoty medal, wartości co najmniej stu dukatów, a na każdym palcu — kosztowny pierścień z brylantami. Pełne sakwy obciążały kieszenie jego surduta, obciążając go prawie do ziemi.

— Mój Boże! — pomyślałem. — Człowiek ten musiał oddać niepowszednie usługi ludzkości, skoro wielcy panowie i wielkie damy, wbrew ich powszechnie teraz znanemu sknerstwu, tak hojnie go obdarowali — gdyż są to ich dary zapewne!

Lecz teraz, po wypadku, człowiek ten czuł się tak lichy, że nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Po niejakiem przecieży czasie przyszedł do siebie i tak wyłożył nam rzecz całą:

— Wprawdzie nie starczyło mi wiedzy ani konceptu, aby wymyślić ten majstersztyk, przeznaczony do powietrznej jazdy, nie zabrakło mi wszelako, jak przystało linoskokczkowi i tancerzowi na linie, śmiałości i odwagi, by doń wsiąść i unieść się w powietrze. Przed siedmioma czy ośmioma dniami, bom już rachunek czasu stracił, uniosłem się z nim z kornwalijskiego przylądka w Anglii. Wziąłem z sobą barana, aby na wysokościach wyczyniać z nim różne sztuki ku uciesze oczu wielu tysięcy widzów. Na nieszczęście, w dziesięć minut po moim odlocie, wiatr się obrócił i, miast pchać mnie ku Exeter, gdzie zamierzałem lądować, porwał mnie nad morze, nad którym zapewne przez cały czas na niedosiężnych wysokościach się unosiłem. Dobrze jeszcze, że do moich sztuk z baranem nie doszło, bowiem w trzecim dniu napowietrznej podróży tak mi już głód doskwierał, że musiałem zarżnąć barana. Znajdowałem się wtedy nieskończenie wysoko, nad księżycem, a gdy się jeszcze przez szesnaście godzin wciąż w górę wzbijał, zbliżyłem się tak do słońca, ażem sobie brwi opalił.

Wtedy obdarłszy ze skóry barana ułożyłem go w koszu tak, aby słońce świeciło nań najsilniej, czyli, innymi słowy, aby nań cień balonu nie padał, i tak oto upiekłem go w trzy kwadransy całkiem nieźle. Tym pieczystym żywiłem się przez cały czas.

Tu zamilkł ów człowiek i jął się rozglądać wokół, badając wzrokiem okolice. Gdy mu powiedziałem, że gmachy przed nami to pałace konstantynopolińskiego sułtana, zdał się zdumiony wielce, sądził bowiem, że znalazł się w całkiem innych stronach.

— To, że tak długo unosił się w powietrzu — podjął wreszcie dalej swoją opowieść — zawdzięczam temu, że sznurek u klapy balonu się zerwał. Sznurek ten służył do wypuszczenia palnego gazu. Gdyby balonu nie rozdarł pański celny strzał, unosiłbym się jak Mohammed, między niebem a ziemią, aż do sądnego dnia.

To rzekłszy ofiarował wspaniałomyślnie koszyk memu bosmanowi, który u rufy za sterem siedział. Pieczeń baraniną cisnął w morze, a co się tyczy balonu, to strzał mój uszkodził go tak bardzo, że przy spadaniu podarł się cały na strzępy.

Piąta przygoda morska

Że mamy czas, panowie, wypróżnić jeszcze jedną flaszę, opowiem wam tedy, co mi się niezwykłego przydarzyło na parę miesięcy przed moją ostatnią powrotną podróżą do Europy.

Wielki sułtan, któremu zostałem przedstawiony zarówno przez rzymsko-rosyjsko-cesarskiego posła, jak i francuskiego ambasadora, posłużył się moją osobą, aby załatwić w wielkim mieście Kairze pewną, nader ważną sprawę takiej natury, że zawsze i wiecznie pozostać winna tajemnicą.

Wyruszyłem tedy drogą lądową z wielką paradą i liczną świtą. Po drodze trafiła mi się sposobność powiększyć ją jeszcze o paru wielce pożytecznych ludzi.

Oddaliłem się już od Konstantynopola o jakieś parę mil, gdym ujrzał biegnącego pędem na przełaj chuderlawego, niewielkiego wzrostu człowieka. Miał on u każdej nogi uwiązany ołowiany, pięćdziesięcio chyba funtowy ciężar. Zdziwiony tym widokiem, krzyknąłem ku niemu:

— Dokąd to, dokąd tak spieszysz, przyjacielu? I czemu utrudniasz sobie bieg takim obciążeniem?

— Pół godziny temu wybiegłem z Wiednia — odrzekł szybkobiegacz — Byłem tam na służbie u wielce dostojnych państwa. Lecz dziś się z nimi pożegnałem i zamierzam udać się do Konstantynopola, aby tam spróbować szczęścia. Przywiesiłem sobie ciężary do nóg, aby nieco zmniejszyć moją ręczność, która jest mi teraz niepotrzebna. Słusznie bowiem mawiał mój nauczyciel — świeć, Panie, nad jego duszą. — „Kto idzie powoli, tego głowa nie zaboli”.

Wcale mi się spodobał ten chyzonogi. Zapytałem go tedy, czyby się do mnie na służbę nie zgodził, na co przystał z miejsca. Po czym ruszyliśmy dalej przez wsie i miasta.

Opodal drogi na uroczej, poroślej trawą między leżał cicho jak mysz jakiś chłopak. Zdawało się, że śpi. Nie spał jednak, lecz tak pilnie trzymał ucho przy ziemi, jakby chciał podsłuchać mieszkańców najgłębszych piekielnych czeluści.

— Co tak nasłuchujesz, przyjacielu?

— Ano, aby się czas nie dłużył, chcę spenetrować, co w trawie piszczy. I słyszę właśnie, jak rośnie.

— I to ci się udaje?

— Ech, dla mnie to fraszka!

— Więc zgódź się do mnie na służbę. Kto wie, co ci jeszcze godnego słyszenia przydarzyć się może.

Chłopak zerwał się i ruszył za mną.

Niedaleko na pagórku stał myśliwiec z fuzją wycelowaną do strzału.

Nagle — strzelił przed siebie w pustą, modrą przestrzeń.

— Szczęść Boże, panie myśliwy! Do czego strzelasz? Nie widzę tu nic wokoło, tylko przestwór modry i pusty.

— Ech, próbuję tylko broni wyrobu pana Kuchenreutera! Na dachu katedry w Strassburgu siedział wróbel: właśnie go stamtąd zestrzeliłem.

Nie zdziwi się nikt, kto zna moje umiłowanie szlachetnej myśliwskiej i łowieckiej sztuki, że tego wybornego strzelca natychmiast w objęcia pochwylił. I samo się przez się rozumie, że nie żałował grosza, aby zwerbować go do mojej świty. . Ruszyliśmy znów dalej przez wsie i miasta i stanęliśmy wreszcie u stóp gór Libanu. Tu, przed rozległym cedrowym lasem, stał krępy, tęgi chłop i ciągnął za powróż, którym był owinięty cały las.

— Co to ciągniesz, przyjacielu? — zapytałem chłopca.

— Et, miałem iść po drzewo na budulec ałem w domu siekierę zostawił. Teraz więc radzę sobie, jak mogę.

To rzekłszy, szarpnął powrozem raz i wyrwał, jak kępkę sitowia, na moich oczach cały las, który miał chyba milę wszerek i wzdłuż.

Łatwo odgadnąć, co się stało: nie wypuściłbym przecież z rąk tego chłopca, choćbym miał stracić wszystkie moje poselskie apanaże *!

Gdy stąd dalej ruszył i wreszcie na egipskiej ziemi stanął, rozpętała się tak straszliwa wichura, że mi się zląkł, iż może gładko porwać mnie, moje wozy, konie i świtę i unieść wszystko w powietrze.

Na lewo od drogi stało rzędem siedem wiatraków, a ich skrzydła furkotały tak szybko, jak kołowrotek w rękach żwawej prządki. Opodał, na prawo, stał potężnej tuszy człowiek i zatykał wskazującym palcem prawą dziurkę w nosie.

Ujrawszy nas w takiej biedzie, wodzonych żałośnie przez wichurę, obrócił się ku nam, stanął na baczność i ściągnął przede mną z szacunkiem kapelusz, niczym muszkietier przed pułkownikiem.

Wtedy ustał nawet najlżejszy powiew, a wszystkie siedem wiatraków zatrzymało się od razu.

Zdumiony tym, zda się, przeciwnym naturze zdarzeniem, krzyknąłem do olbrzyma:

— Ej, chłopie, co się tu dzieje? Czy masz diabła za skórą, czy też sam jesteś diabłem we własnej osobie?

— Za pozwoleniem, ekscelencjo — odrzekł chłop. — Robię tylko nieco wiatru dla mego pana, młynarza. Ale żeby tych siedem wiatraków ze wszystkim nie obalić, musiałem zatkać jedną dziurkę w nosie.

— Co za chłopisko na schwał! — pomyślałem sobie. — Przyda mi się, gdy do domu powrócę i gdy mi zabraknie tchu, by opowiadać o wszystkich moich cudownych przypadkach na lądach i morzach, które mi się w podróży przytrafiły!

Wkrótce dobiliśmy handlu. Wiatromistrz pozostawił młyny i udał się za mną. Czas już był najwyższy, by zdążyć do Kairu. Gdy mi się tylko z poruczoną mi sprawą jak należy uładził, zdało mi się dogodnie zwolnić całą niepotrzebną mi już świtę i, zatrzymawszy tylko moich nowych, tak pożytecznych ludzi, samemu z nimi, nieurzędowo powracać.

Że pogoda była niezwykle piękna, a sławna rzeka Nil przechodziła swym powabem wszystko, com o niej słyszał, postanowiłem wynająć łódź i popłynąć wodą aż do Aleksandrii. Przez trzy dni wszystko szło jak z płatka. Z wszelką pewnością słyszeliście, panowie, nieraz o corocznych wylewach Nilu. Trzeciego dnia właśnie jęły wody Nilu przybierać bez miary, a nazajutrz po lewym i prawym brzegu rzeki, na wiele mil wszerek i wzdłuż cały kraj był zalany.

Piątego dnia po zachodzie słońca zaplątała się moja łódź w coś, com wziął za wodorost czy wiklinę. Gdy jednak następnego ranka przejaśniło się, ujrzałem dokoła pełno wyborych, dojrzałych migdałów.

Gdyśmy wyrzucili z łodzi sondę, przekonałem się, że znajdujemy się na jakieś sześćdziesiąt stóp ponad powierzchnią ziemi i — na nieszczęście — nie możemy się ruszyć ani w przód, ani w tył. Była już godzina ósma albo i dziewiąta, o ilem mógł z wysokości słońca zmiarkować, gdy z nagłą wzbił się wielki wichurę i przechylił naszą łódź całkiem na jeden bok. Wody w nią się nabrało, poszła tedy na dno i przez długi czas anim ją widział, anim o niej słyszał, jak się niebawem o tym, panowie, dowiecie.

Na szczęście ocaleliśmy wszyscy: ośmiu mężczyzn i dwóch chłopaków. Chwyciliśmy się bowiem drzew, których gałęzie utrzymały nas, nie uradziłyby jednak naszej łodzi. W tym to położeniu wytrwaliśmy trzy tygodnie żywiąc się jedynie migdałami. Że napoju nam nie zabrakło — samo się przez się rozumie.

Dwudziestego drugiego dnia naszej niedoli wody opadły równie prędko, jak wezbrały, a dwudziestego szóstego mogliśmy stanąć na twardej ziemi. Od razu ujrzałem z radością na-

* apanaże (z franc.) — dochody, uposażenie

szą łódź. Leżała o dwieście chyba sążni od miejsca, w którym zatoneła. Gdyśmy już wszystek potrzebny i konieczny sprzęt wysuszyli, rozważyliśmy, co nam teraz po przypadku z łodzią czynić wypada, i ruszyliśmy naprzód, aby odnaleźć nasz zagubiony szlak. Po dokładnym obliczeniu pojąłem, że nas zniosło daleko ponad płotami i opłotkami o jakieś sto pięćdziesiąt mil.

Po siedmiu dniach doszliśmy do rzeki, która znowu w swym korycie płynęła, i opowiedzieliśmy naszą przygodę pewnemu bejowi. Pomógł nam miłościwie w naszych potrzebach i wysłał nas dalej na jednej ze swych łodzi. Chyba ze sześć dni trwało, nim trafiliśmy do Aleksandrii, gdzieśmy wsiedli na okręt odpływający do Konstantynopola.

Tam zostałem nader mile przyjęty przez Wielkiego Sułtana, który mnie wielce uhonorował, dozwolił mi bowiem obejrzeć swój harem, dokąd mnie Jego Wysokość raczył sam zaprowadzić.

Szósta przygoda morska

Od czasu mojej podróży do Egiptu zażywałem wielkiego znaczenia u sułtana. Jego Wysokość nie mógł żyć bez mnie i zawsze prosił mnie na obiad i na wieczerzę.

Wiedziecie, panowie, że, co się rozkoszy stołu tyczy, cesarz turecki wie prym wśród wszystkich mocarzy świata. Oczywiście jeśli chodzi o jadło, gdyż wina — jak wiadomo — swoim wyznawcom prawo Mohammeda zabrania. Lecz to, co się nie może dziać jawnie, tym częściej dzieje się w ukryciu. Tedy jak smakuje szklanka dobrego wina, wie, wbrew wszelkim zakazom, równie dobrze każdy Turek, jak najczcigodniejszy prałat niemiecki.

Dowodzi tego przypadek Jego Tureckiej Wysokości.

Na publicznej uczcie, w której zwykł uczestniczyć arcybiskup turecki, zwany Muftim, i miał obowiązek przed jedzeniem „Pobłogosław te dary...”, a po jedzeniu „Dziękujemy Ci, Panie...” odmawiać — nikt nie wspomniał o winie ani jednym słówkiem. Po skończonej uczcie jednak czekała zwykle na Jego Wysokość .w ustronnej komnacie godna butelczyna.

Kiedyś mrugnął na mnie Wielki Sułtan ukradkiem, abym za nim do jego gabinetu się udał. Ledwośmy zamknęli za sobą drzwi, wyjął sułtan ze swojego kantorka flaszkę i powiada:

— No, mości Münchhausen! Wiem, że wy, chrześcijanie, poznać się umiecie na kielichu dobrego wina. Mam tu jeszcze ostatnią butelczkę tokaju tak subtelnego smaku, jakiegoś jeszcze w życiu nie pijał.

To rzekłszy, Jego Wysokość nalał mnie szklankę, sobie — szklankę i trąciliśmy się na zdrowie.

— No i co, mości Münchhausen! Przednie wino!

— Niezłe, Wasza Wysokość — odpowiedziałem. — Przecież, bez urazy, rzecz muszę Waszej Wysokości, że w Wiedniu, u świętej pamięci cesarza Karola Szóstego stokroć lepsze pijał. Do stu fur beczek — warto, byś go Wasza Wysokość kiedyś spróbował!

— Münchhausen! Przyjacielu! Cenię sobie twoje słowa, ale rzecz to niepodobna, by gdzieś był lepszy tokaj! Jedną bowiem tylko taką butelczynę dostałem kiedyś od pewnego węgierskiego szlachcica, jako wielki rarytas.

— Wolne żarty, Wasza Wysokość! Tokaj tokajowi nierówny! A węgierscy szlachcice nie zwykli czynić zbyt hojnych darów. Gotów jestem się założyć, że w godzinę dostarczę Waszej Wysokości wprost z cesarskiej piwnicy flaszkę tokaju całkiem innego smaku.

— Bajki, mości Münchhausen!

— Nie bajki. Wprost z wiedeńskich piwnic cesarskich dostarczę Waszej Wysokości w godzinę flaszkę tokaju całkiem innego gatunku niż ten oto sikacz!

— Ejże, Münchhausen, Münchhausen! Kpisz sobie ze mnie! A wymawiam to sobie! Wprawdzie miałem cię do tej pory za prawdomównego człeka, teraz przecie zaczynam myśleć, że z ciebie kawał łgarza!

— Niechaj i tak będzie, Wasza Wysokość! Ale wystawmy rzecz na próbę. Jeśli nie dotrzymam słowa, rozkażesz Wasza Wysokość ściąć mi głowę. Jestem bowiem nieubłaganym wrogiem łgarstwa. Głowa moja jednak to nie bagatelka! Cóż tedy Wasza Wysokość przeciw niej stawiasz?

— Stoi zakład! Trzymam cię, Münchhausen, za słowo! Jeśli równo z uderzeniem czwartej godziny nie będzie tu butelki tokaju, bez litości głowę ściąć ci każę. Bowiem nawet najlepszym przyjaciołom drwić z siebie nie pozwalani. Jeśli zaś wyjdiesz z tej próby zwycięsko, będziesz mógł zabrać z mego skarbcza tyle złota, srebra, pereł i drogich kamieni, ile najsilniejszy człek udźwignie.

— Mądre słowa Waszej Wysokości — odrzekłem i poprosiwszy o inkaust i pióro napisałem taki oto liścik do cesarzowej Marii Teresy:

Wasza Cesarska Mość, jako jedyna spadkobierczyni, otrzymała bez wątpienia w spadku i piwnice świętej pamięci cesarza, Jej ojca. Czy wolno mi tedy prosić o jedną flaszę tokaju, jakiegom u ojca Waszej Cesarskiej Mości często pijał? Ale najlepszego! Chodzi bowiem o zakład.

Zawsze i wszędzie do usług Waszej Cesarskiej Mości. Pozostaję etc., etc.

Ten liścik, że już było pięć minut po trzeciej, natychmiast dałem memu szybkobiegaczowi. Odpiął od nóg ciężary i w te pędy puścił się do Wiednia.

Po czym Jego Wysokość i ja wypróbniliśmy do dna sułtańską flaszę, póki nie było lepszej. Zegar wybił kwadrans po trzeciej, wpół do czwartej i trzy na czwartą, a mego gońca ani widu, ani słyhu. Jużem się wreszcie — przyznaję — zaczął pocić. Zdawało mi się bowiem, że Jego Wysokość raz po raz popatruje na sznur od dzwonka, aby przywołać kata. Wprawdzie dał mi jeszcze pozwolenie, abym się przeszedł po ogrodzie i użył świeżego powietrza, ale i tu towarzyszyło mi dwóch aniołów stróżów, którzy nie spuszczały ze mnie oka.

W prawdziwej trwodze, bowiem wskazówka zegara stała już na „za pięć czwarta”, posłałem szybko po mego bystrouchego i po mego strzelca. Obaj przybyli niezwłocznie. Bystrouchy położył się płasko na ziemi, aby nasłuchiwać, czy mój szybkobiegacz nie przybywa wreszcie. Niemal strach mnie obleciał, gdy mi oznajmił, że nicpoń, gdzieś — het — precz, daleko stąd w najgłębszym śnie spoczywa i ile sił w piersi chrapie. Gdy to tylko mój dzielny strzelec postyszał, wbiegł na wyniesiony nieco taras i jeszcze się na palce wspiąwszy, krzyknął porywczo:

— Dalipan! Leży ten wałkoń pod dębem koło Belgradu, a butelka koło niego! Czekać! Zaraz go stamtąd wykurzę!

I przyłożywszy natychmiast do skroni swoją fuzję — kuchenreuterówkę, palną z niej cały nabój śrutu w koronę drzewa. Grad żołądzi, liści i gałęzi sypnął się na śpiocha i zbudził go. Przerażony, że zasnął, puścił się takim pędem, że o godzinie trzeciej minut pięćdziesiąt dziewięć i pół stanął z flaszką i własnoręcznym pismem Marii Teresy w sułtańskim gabinecie.

To ci była radość! Ech, jakże też, smakosz dostojny, Jego Sułtańska Mość popijał!

— Münchhausen — powiada — nie bierz mi pan za złe, że zachowam dla siebie tę flaszę. W Wiedniu bowiem na ciebie łaskawszym niż na mnie okiem patrzą, będziesz tedy miał sposobność popić tam dobrego wina jeszcze nieraz!

Co rzekłszy, zamknął flaszę w swoim kantorku, schował klucz do kieszeni szarawarów i zadzwonił na skarbnika. Jakże srebrzyście i mile zabrzmiał mi w uszach ten dźwięk.

— Nadeszła pora spłacić zakład! Wydajcie — zwrócił się do skarbnika — memu przyjacielowi, Münchhausenowi, tyle skarbów, ile najsilniejszy człowiek udźwignąć zdoła.

Skarbnik skłonił się przed swym panem, aż nosem dotknął podłogi, mnie zaś Wielki

Sułtan po prostu i szczerze uściskał dłoń. Takeśmy się rozstali.

Jak się, panowie, domyślacie, nie omieszkałem skorzystać z pozwolenia sułtana i przywołałem mego siłacza, który wzięwszy swój długi konopny powróż poszedł ze mną do skarbcza. Po to, co w skarbcu pozostało, gdy już mój siłacz swój tobiół z kosztownościami związał, nie warto się było i schylić, panowie.

Pośpieszyłem z moim łupem na przystań, zająłem największy towarowy okręt, jaki się dało, i naładowawszy go pięknie, odpłynąłem pod pełnymi żaglami wraz z całą moją świtą, aby ująć ze zdobyczą w bezpieczne miejsce, zanim mi jakieś лихо na drodze nie stanie.

Lecz to, czegom się obawiał, nastąpiło. Skarbnik, zostawiwszy drzwi i bramy skarbcza otworem — bo po prawdzie nie było już i co zamykać — popędził na łeb, na szyję do Wielkiego Sułtana i oznajmił mu, jakem doskonale wykonał wysokie sułtańskie polecenie. A sułtan bardzo to sobie wziął do serca. Żal go chwycił, że się tak nierozważnie rozpędził. Rozkazał tedy wielkiemu admirałowi pośpieszyć za mną i zawrócić mnie z drogi. Niby żem źle zrozumiał, o co stanął zakład. Jeszczem i na dwie mile na pełne morze nie wypłynął, gdym ujrzał całą wojenną flotę turecką, sunącą za mną pod rozwiniętymi żaglami. Muszę przyznać, że znów zaczęło mi się mącić w głowie, w której tylko co mi się rozjaśniło. Ale mój wiatromistrz był pod ręką i powiada:

— Niechaj się ekscelencja nie stracha!

To rzekłszy ustawił się na tylnym pokładzie statku tak, że po stronie jednej dziurki od nosa miał turecką flotę, a po drugiej stronie nasze własne żagle — i dmuchnął wiatrem tak hojnie, że nie tylko żagle i liny floty tureckiej całkiem poniszczył, ale ją do przystani z powrotem zagnał.

Nasz okręt natomiast w parę zaledwie godzin do włoskich brzegów doprowadził.

Małom jednak z moich skarbów skorzystał. We Włoszech bowiem biedaków i żebraków jest tak wiele, a policja tak do niczego, że — może memu zbyt miękkiemu sercu to zawdzięczając — rozdałem większą część moich skarbów ulicznym żebrakom. Resztę zrabowała mi banda rozbójników na świętej łączce koło Loreto, gdym się w podróż do Rzymu wybrał. Przecież sumienie tych jegomościów niezbyt się tym zaniepokoiło, bowiem zdobycz tej godnej kompanii była tak znaczna, iż mogli za nią zakupić z pierwszej ręki w Rzymie zupełny odpust popełnionych i przyszłych grzechów dla siebie i swych spadkobierców aż do któregoś tam pokolenia. Tak... tak. Ale teraz pora na spoczynek. Dobrej nocy, panowie!

Siódma przygoda morska (opowiedziana pod nieobecność barona)

Skończywszy to opowiadanie, pan baron nie dał się zatrzymać dłużej, lecz otworzywszy drzwi, opuścił w najlepszym humorze towarzystwo. Przyobiecał wszakże opowiedzieć przy pierwszej sposobności przygody swego ojca oraz parę pociesznych dykteryjek, na co z niecierpliwością czekali jego słuchacze.

Gdy więc każdy na swój sposób puszczał się na takie i na inne sądy o tylko co zasłyszanych uciésznych opowieściach, rzekł jeden z kompanów, który baronowi w jego podróży do Turcji towarzyszył, iż koło Konstantynopola znajduje się olbrzymiej wielkości armata. Mówi o niej wiele pan baron Tott w swych tylko co wydanych wspomnieniach. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, powiada on, co następuje:

— Niedaleko od miasta, powyżej twierdzy, na brzeg słynnej rzeki Simoeis, wytoczyli Turcy olbrzymią armatę. Była ona odlana w miedzi i strzelała jedną marmurową kulą, ważącą mniej więcej tysiąc sto funtów.

Rwałem się do strzału — powiada Tott — aby się o jej sprawności dowodnie przekonać. Wszyscy koło mnie trzęśli się tymczasem ze strachu, uważano bowiem za rzecz niesporna, że przy strzale pałac i miasto w gruzy się rozsypią. Przecież wkrótce strach nieco sfolgował, a ja otrzymałem pozwolenie, bym dał ognia z armaty. Spotrzebowałem, ni mniej, ni więcej, tylko trzysta trzydzieści funtów prochu. Kula — jakem już wspomniał — ważyła tysiąc sto funtów. Gdy kanonier zbliżył się z lontem, tłum, który mnie otaczał, cofnął się, ile mógł w tył. Z niemałym trudem przekonałem baszę, który nadszedł zaniepokojony, że nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo. Nawet kanonierowi, który według moich wskazówek miał strzał oddać, serce waliło ze strachu jak młotem. Zająłem miejsce na murowanym szańcu za armatą i dałem znak. Rzuciło mną jak przy trzęsieniu ziemi!

Kula, przeleciawszy jakieś trzysta sążni, rozpękła się na troje. Odłamki przeleciały nad cieśniną morską, odbiły się od wód i uderzyły o otaczające góry, spieniwszy wody kanału, jak był długi i szeroki.

Tak, panowie — jeśli mnie pamięć nie myli — brzmi opowieść pana barona Totta o największej armacie świata.

Gdyśmy z baronem Münchhausenem te okolice zwiedzali, opowiedziano nam o strzale armatnim barona Totta, stawiając nam za przykład męstwo tego pana.

Mój łaskawca nie mógł znieść, by go w czymkolwiek ubiegł Francuz, pochwycił więc armatę na ramiona, ułożył ją równo, dał susa w morze i przepłynął z nią aż do przeciwległego brzegu. Niestety — próbował stamtąd cisnąć ją na dawne miejsce z powrotem. Niestety — powiadam — gdyż armata wysliznęła mu się za wcześniej nieco z ręki, którą był wyciągnął do rzutu. Stało się więc. Armata runęła w wodę pośrodku kanału, gdzie do tej pory spoczywa i spoczywać będzie zapewne aż do sądnego dnia.

Przez ten czyn właśnie naraził się pan baron najbardziej Wielkiemu Sułtanowi. Cała historia ze skarbem, której zawdzięczał utratę sułtańskiej łaski, z dawna już była poszła w zapomnienie. Miał bowiem skąd brać złoto Wielki Sułtan i wkrótce zapełnił znów swój skarbiec. Pan baron znajdował się podówczas po raz pierwszy w Turcji na osobiste pisemne zaproszenie sułtana i mógłby tam być jeszcze i do dziś, gdyby nie strata tej sławnej armaty. Strata ta bowiem tak rozwścieczyła okrutnego Turka, że natychmiast wydał nieodwołalny rozkaz, by panu baronowi ściąć głowę. Jednak pewna sułtanka, której pan baron był ulubieńcem, nie tylko natychmiast przesłała mu wieść o tych krwiozerczych knowaniach, ale i ukryła go we własnym pałacu, gdy oficer mający przeprowadzić egzekucję wraz ze swymi siepacami barona poszukiwał.

Następnej nocy udało nam się dostać na okręt, który odpłynął do Wenecji, i rozwinięszy pełne żagle uszliśmy szczęśliwie z Turcji.

Baron o tym wszystkim niechętnie opowiada, bo mu się wtedy i jego zamiar nie udał, i o mały włos życia nie stracił. Że mu wszelako cały ten przypadek żadnej ujmy nie przynosi, opowiadam go czasem za jego plecami. Teraz więc poznaliście barona Münchhausena, panowie, i mam nadzieję, że ani trochę wątpić nie będziecie w jego prawdomówność

Podróż do Gibraltaru

Jak to sobie łatwo wyobrazić można, przy każdej sposobności proszono barona, aby, jak obiecał, ciągnął dalej swe zarówno pouczające, jak ucieszne opowieści. Przez czas dłuższy jednak wszystkie prośby były daremne. Baron miał bowiem jeden chwalebny zwyczaj, by nic nie czynić, na co nie miał ochoty, a drugi, jeszcze chwalebniejszy, by nigdy z żadnej przyczy-

ny od tej zasady nie odstępować.

Lecz nastał wreszcie z dawna wymarzony wieczór, kiedy to z przyjaznego uśmiechu, z jakim się baron namowom przyjaciół przysłuchiwał, wnosić można było, iż animusz weń wstąpił i że spełni ich nadzieje.

Milczeli więc wszyscy, oczu zeń nie spuszczać, a Münchhausen z wyżyn miękko wyściełanej kanapy tak rzecz rozpoczął:

— W czasie ostatniego oblężenia Gibraltaru wybrałem się w drogę wraz z wiozącą prowiant wojskowy flotą pod komendą lorda Rodney, aby w tej twierdzy odwiedzić generała Elliot, starego mojego przyjaciela, który chwalebnie Gibraltar obroniwszy, nieśmiertelnymi wawrzynami się okrył.

Gdy gorące uniesienie towarzyszące zwykle spotkaniu starych przyjaciół przygasło nieco, udaliśmy się z generałem na obchód twierdzy, aby zbadać, jaki jest stan załogi i zamiary nieprzyjaciela.

Przywiozłem sobie z Londynu wielce wspaniałą lustrzaną lornetę. Używszy jej, ujrzałem, że nieprzyjaciel właśnie zamierza wystrzelić z trzydziestosześcioletniego działu ku miejscu, gdzieśmy stali. Powiedziałem o tym generałowi, a ten spojrzawszy przez lornetę potwierdził mój domysł.

Za jego zezwoleniem kazałem natychmiast z najbliższej baterii przytoczyć czterdziestoosmiofuntowe działo i sam je nastawiłem, jako że, nie chwając się, jeschcem w sztuce artyleryjkiej równego mi mistrza nie spotkał — i byłem pewien nieomylności mego strzału.

Po czym jałem bystro śledzić ruchy nieprzyjaciela i ujrzałem wreszcie, jak podkłada lont do zapalu swego działu. W tejże chwili dałem znak, aby natychmiast palnąć i z naszej armaty.

W połowie mniej więcej lotu ze straszliwą siłą zderzyły się obie kule. Zdumiewający był tego skutek. Nieprzyjacielska odbiła się tak mocno, że nie tylko gładko odcięła głowę kanonierowi, który ją wystrzelił, ale i urwała szesnaście innych głów, które jej w locie do afrykańskiego brzegu przeszkadzały. Zanim jednak dosięgła berberyjskiego kraju, przecięła wielkie maszty trzech okrętów, stojących właśnie rzędem w przystani: Po czym poleciała jeszcze jakieś sto mil angielskich w głąb łądu, zerwała dach chłopskiej chałupy, wybiła babuli, co na wznak leżąc z otwartą gębą spała, ostatnie zęby i wreszcie w gardle nieszczęsnej kobieciny utkwiała. Mąż jej, który wkrótce potem do domu wrócił, próbował kulę wyciągnąć. Ale darmo się mozolił. Nie namyślając się więc dłużej, wbił jej kulę młotkiem w głąb do żołądka, skąd się sposobem zgodnym z naturą wydostała.

Wystrzelona przez nas kula wyświadczyła nam też znakomite usługi. Nie tylko bowiem odepchnęła kulę nieprzyjacielską, jak to tylko co opisałem, ale jakem to trafnie obliczył, pomknęła dalej. Zerwała z lawety działu, którego właśnie przeciw nam użyto, i cisnęła nim z taką siłą o dno stojącego w pobliżu okrętu, że przebiła je na wylot. Woda wdarła się pod pokład i okręt zatonął wraz z tysiącem hiszpańskich marynarzy i licznym poczem żołnierzy, którzy się na nim znajdowali.

Był to czyn bez wątpienia niezwykły! Nie życzę sobie jednak bynajmniej, by mi go za wyłączną moją zasługę poczytywano.

Wprawdzie sam pomysł przynosi honor mojej głowie, ale przypadek dopomógł mi także co nieco.

Przekonałem się bowiem później, że nasze czterdziestoosmiofuntowe działo zostało wtedy przez niedopatrzenie naładowane podwójną porcją prochu, co jedynie wyjaśnia jego nieoczekiwane działanie, zwłaszcza jeśli chodzi o odrzucenie nieprzyjacielskiej kuli.

Generał Elliot za tę niezwyčajną przysługę zaofiarował mi rangę oficera w swojej armii. Ale się od tego wszystkiego wymówił. Wystarczającą bowiem radością były mi słowa podziękowania, którymi tegoż wieczora, przy uczie, w obecności wszystkich panów oficerów, mnie zaszczycił.

W trzy tygodnie potem trafiła mi się jeszcze dobra okazja do oddania Anglikom nowej przysługi. Przebrałem się za katolickiego księdza, wysliznąłem z twierdzy w biały dzień o pierwszej godzinie i przedostałem się szczęśliwie przez nieprzyjacielskie straże aż do wrogiego obozu. Tu — skierowałem się do namiotu, w którym sprzymierzony z Hiszpanami książę d'Artois wraz ze swoim szefem sztabu i innymi panami oficerami układali plan jutrzejszego na naszą twierdzę ataku. Chroniło mnie moje przebranie. Nikt mnie nie odpędzał i mogłem bez przeszkody przysłuchiwać się wszystkiemu, co się tu działo.

Wreszcie wszyscy poszli spać i otom widział cały obóz, nawet straże — pogrążony w najgłębszym śnie. Natychmiast wzięłem się do dzieła. Zdjąłem tedy z lawet wszystkie działa, a było ich chyba ze trzysta: od czterdziestoośmio- do dwudziestoczterofuntowych, i cisnąłem je na trzy mile przed siebie, w morze. Że nikt mi nie pomógł, była to chyba najcięższa robota, jakiej się kiedykolwiek jałem, nie licząc tej, o której, jak słyszałem, jeden z moich kompanów uważał za stosowne wam opowiedzieć, korzystając z mej nieobecności. Mianowicie, żem z olbrzymią, przez pana barona Totta opisaną turecką armatą do przeciwległego brzegu przez morze przepłynął.

Gdym tylko skończył z tą robotą, ściągnąłem na środek obozu wszystkie lawety i jaszczce, aby zaś turkotu kół nie było słyhać, przenosiłem je sam po dwie pod każdym ramieniem. Jakież wysoki zrobił się z tego stos! Wyższy chyba niż gibraltarska skała! Wtedy, odłamawszy kawał czterdziestoośmifuntowego działa, walnąłem nim w krzemień, tkwiący na dwadzieścia stóp pod ziemią, w zbudowanym jeszcze przez Arabów murze, i skrzesałem ognia. Po czym zapaliłem lont i podpałem stos. Zapomniałem wam jeszcze powiedzieć, żem przedtem furgony z zapasami żywności na wierzch stosu rzucił, a wszystko, co łatwopalne, położyłem roztropnie na spód. Tak że w jednej chwili stos zajął się jasnym płomieniem. Aby ująć wszelkim podejrzeniom, pierwszy wszcząłem alarm. Jak sobie łatwo wyobrazić możecie, panowie, cały obóz wpadł w straszliwe osłupienie i wszyscy przyszli do wniosku, że straże zostały przekupione i że siedem czy osiem angielskich regimentów z twierdzy zniszczyło ze szczętem francuską artylerię. Pan Drinkwater wspomina w dziejach tego sławnego oblężenia o wielkich stratach nieprzyjaciela w związku z pożarem, który wybuchł w jego obozie. Nie zna jednak jego przyczyny. Nie może znać jej zresztą. Tego bowiem, że to mój właśnie czyn uratował w tę noc Gibraltar, nie wyjawilem nikomu, nawet generałowi Elliotowi.

Hrabia d'Artois umknął z obozu wraz ze swymi ludźmi, ani na chwilę się nie zatrzymując. Biegli bez przerwy chyba ze dwa tygodnie i nie zatrzymali się aż w Paryżu. Strach, który ich przy tym okropnym pożarze chwycił, sprawił, że przez trzy miesiące nie byli w mocy pokrzepiać się niczym i żyli tylko świeżym powietrzem.

W jakieś dwa miesiące po tej wyświadczonej oblężonym przysłudze, gdym pewnego ranka z generałem Elliotem przy śniadaniu siedział, wleciał do pokoju pocisk z moździerza, którego nie miałem czasu wrzucić wtedy do morza śladem innych dział nieprzyjacielskich, i upadł na stół. Generał w okamgnieniu opuścił pokój. Wielu zresztą uczyniłoby to samo. Ja jednak wzięłem pocisk w rękę i wyniosłem go na szczyt skały. Stamtąd ujrzałem opodal obozu nieprzyjacielskiego, na nadbrzeżnym pagórku, sporą gromadę ludzi. Nie mogłem jednak gołym okiem rozpoznać, jakie są ich zamiary. Odwołałem się więc o pomoc do mojej lornety i wypatrzyłem w tłumie dwóch naszych oficerów: generała i pułkownika, którzy po spędzonym wesoło ze mną wczoraj wieczorze, o północy udali się na zwiady do hiszpańskiego obozu, a których teraz właśnie Hiszpanie zamierzali powiesić. Za daleko było, bym stąd, ręką się tylko posługując, mógł pociskiem w obóz trafić. Na szczęście przypomniałem sobie, że mam w kieszeni tę samą procę, której błogiej pamięci Dawid tak celnie przeciw olbrzymiemu Goliatowi użył. Włożyłem tedy w nią pocisk i raz-dwa! — wystrzeliłem w sam środek obozowiska. Pocisk padł, wybuchł, zabijając wszystkich dokoła, oprócz dwóch angielskich oficerów, których właśnie na stryczkach w górę windowano. Odłamek pocisku uderzył przy tym o podstawę szubienicy, obalając ją natychmiast. Gdy tylko obaj nasi przyjaciele poczuli ziemię

pod nogami, zaraz zastanowili się nad przyczyną tego nadzwyczajnego wypadku, a widząc, że kat, strażę i wszyscy dokoła leżą trupem, poodwiązywali sobie nawzajem niewygodne stryczki, pobiegli na brzeg morza, wskoczyli do hiszpańskiej łodzi i zmusili dwóch znajdujących się w niej ludzi, aby powiosłowali z nimi ku jednemu z naszych okrętów. W parę chwil potem przybyli do nas szczęśliwie, właśnie gdym generałowi Elliotowi rzecz tę opowiadał. Po obustronnych wyjaśnieniach i powinszowaniach uczciliśmy jak najwesелей ten pamiętny dzień.

Widzę po waszych oczach, panowie, że radzi byście usłyszeć, skąd wzięłem tę niezwykle cenną procę. Pięknie! Sprawa ta wiąże się z tym, że — jak zapewne wiecie — pochodzę z rodu małżonki Uriasza, która żyła z Dawidem w tkliwej przyjaźni. Z czasem jednak, jak to się nieraz zdarza, Jego Królewska Mość ostygł nieco w afektach dla hrabiny. Otrzymała bowiem ten tytuł w pierwszym kwartale swego wdowieństwa. Kiedyś wybuchła między królem Dawidem i hrabiną Uriaszową kłótnia o rzecz wielce ważną: w którym miejscu Noe zbudował swoją arkę i gdzie ta po potopie ugrzęzła. Mój przodek chciał uchodzić za wielkiego znawcę starożytności, a hrabina była przewodniczącą pewnego historycznego towarzystwa. Król Dawid miał ponadto słabostkę, zwykłą u wielkich panów: nie mógł ścierpieć, by mu się sprzeciwiano. Hrabina zaś — posiadała wadę swojej płci: zawsze chciała mieć we wszystkim ostatnie słowo. Krótko mówiąc: skutek był taki, że się rozeszli.

Hrabina słyszała często od króla Dawida o procy, jako o wielce cennym skarbie, i uznała, że warto ją — niby to na pamiątkę — sobie zabrać. Jeszcze nie opuściła granic Dawidowego królestwa, a już się okazało, że proca gdzieś się królowi zapodziała. Aż sześciu ludzi z królewskiej gwardii puściło się więc za nią w pogoń. Hrabina umiała jednak posługiwać się zabraną bronią tak zgrabnie, że jednego z prześladowców, który, chcąc snadź wykazać się gorliwością, naprzód się nieco wysforował, trafiła akurat w to miejsce, gdzie Goliat został śmiertelnie ugodzony. Gdy pozostali prześladowcy hrabiny ujrzeni, że ów martwy na ziemię pada, po długiej i rozsądnej naradzie uznali za najlepsze zawrócić i dać znać o tym, co zaszło, swoim przełożonym. Natomiast hrabina uznała za najlepsze pędzić dalej rozstawnymi końmi aż do Egiptu, gdzie miała na dworze wysoko postawionych przyjaciół. Ale! Ale! Miałem wam jeszcze powiedzieć, że zabrała ze sobą, uciekając, ulubionego syna i przekazała mu w specjalnym paragrafie testamentu ową sławną procę.

Stąd, prawem dziedzictwa, przeszła ona wprost na mnie. Jednym z jej właścicieli był mój prapradziad, który żył coś dwieście pięćdziesiąt lat temu i w czasie swej podróży do Anglii zaprzyjaźnił się z pewnym pisarzem, nazwiskiem Szekspir. Ten właśnie, pożyczwszy kiedyś procy, ubił z niej tyle królewskiej zwierzyny, że z niemałą biedą uniknął losu dwóch moich przyjaciół, co się pod Gibraltarem z szubienicy urwali. Nieszczęsny człowiek został wtrącony do więzienia, skąd mój przodek wydostał go w niezwykle zaiste sposób.

Królowa Elżbieta, która natenczas rządziła Anglią, sama się sobą na stare lata znudziła. Ubierać się, rozbierać, jeść, spać i coś jeszcze, czego już nie wspomnę — wydawało jej się trudem ponad siły. Mój przodek umożliwił jej więc, by czyniła to wszystko tylko wtedy, gdy jej się spodoba, lub też przez zastępstwo. I — wiecie, co sobie za ten magiczny majstersztyk wyprosił? Wolność Szekspira! Wszelkich innych dowodów wdzięczności, pomimo że się królowa sama napraszała — odmówił. Poczciwiec bowiem tak pokochał wielkiego pisarza, że chętnie oddałby wiele dni własnego życia, by żywot przyjaciela przedłużyć.

Mogę was jednak zapewnić, panowie, że ta kuracja, którą zaaplikowała sobie królowa Elżbieta — aby żyć bez jedzenia — jakkolwiek niepowszednia, nie znalazła wielkiego poklasku u jej poddanych, zwłaszcza u jej mięsożernych gwardianów, których jeszcze dziś „pożeraczami wołowych pieczeni” zowią.

Sama królowa wytrzymała zresztą swój nowy tryb życia wszystkiego półósma roku.

Ojciec mój, po którym, na krótko przed podróżą do Gibraltaru tę procę odziedziczyłem, opowiedział mi o niej ucieszną dykteryjkę, którą wielokroć swoim przyjaciołom opowiadał. W jej wiarygodność nie zwątpi nikt, kto znał tego rzetelnego starca.

— W czasie moich podróży — mówił — zatrzymałem się przez pewien czas w Anglii. Kiedyś wyruszyłem na przechadzkę po morskim wybrzeżu, opodal Harwich. Nagle wyskoczył na mnie okrutnie rozwścieczony koń morski. Miałem przy sobie tylko procę, więc palnąłem z niej owemu zwierzęciu w głowę dwoma krzemykami tak zgrabnie, że każdym z nich po jednym oku potworowi wybił. Po czym wskoczyłem mu na grzbiet i skierowałem go ku morzu. Straciwszy bowiem wzrok, zwierzę stracił również swoją dzikość i stał się niezwykle łagodny. Założyłem mu procę zamiast wędzidla i puściłem się lekko wierzchem, na przełaj przez ocean. Nie minęło i trzy godziny, gdy przybyliśmy na przeciwległy brzeg, przemierzony szlak liczący trzydzieści mil morskich.

Tu sprzedałem morskiego konia za siedemset dukatów właścicielowi gospody „Pod Trzema Kielichami”, który pokazywał go jako rzadki okaz i niejeden grosz na tym zarobił. Obecnie zobaczyć można wizerunek owego zwierzęcia w „Historii naturalnej” Buffona.

— Jakkolwiek niezwykle był mój sposób podróżowania — ciągnął mój ojciec dalej — niezwyklejsze jeszcze poczyniłem w drodze spostrzeżenia. Zwierzę, którego dosiadłem, nie pływał, lecz pomykał z niewiarygodną chyżością po morskim dnie i pędził przed sobą miliony ryb, zupełnie niepodobnych do tych, które znamy. Niektóre miały głowę pośrodku tułowia, inne — na czubku ogona. Inne jeszcze, siedząc szerokim kręgiem, śpiewały niewypowiedzianie pięknym chórem. Były i takie, które budowały z wody najwspanialsze pałace otoczone olbrzymimi kolumnami. Między tymi kolumnami materia jakaś, którą miałem za najprawdziwszy płomień, poruszała się powabnym falistym ruchem, mieniając się najmiłszymi dla oka barwami. Dotarłem także do olbrzymiego górskiego łańcucha, co najmniej tak wysokiego jak góry alpejskie. Tu, od strony skał, wznosiło się mnóstwo różnorodnych drzew. Rosły na nich homary, raki, ostrygi, ostrygi grzebieniaste, muszle, kraby i tak dalej. Starczyłoby jednej sztuki, by naładować olbrzymi wóz taborowy, a tragarz dobrze by się musiał zmordować, chcąc najmniejszą z nich udźwignąć. Wszystko to, co morze wyrzuca i co się sprzedaje na jarmarkach, to lichota, którą fala z gałęzi strąca, tak jak wiatr otrząsa z drzewa niewydarzony owoc. Drzewa homarowe wydały mi się najbardziej rozrośnięte, drzewa krabowe i ostrygowe za to — najwyższe. Małe ślimaki rosły na czymś, co wyglądało na krzaki, znajdujące się blisko drzew ostrygowych i oplatające je jak bluszcz dęby.

Przekonałem się tu również, co zaszło z pewnym zatopionym okrętem. Ten, jak mi się zdało, uderzył o szczyt skały sterczącej o zaledwie trzy sążnie pod powierzchnią morza i tonąc obrócił się dnem do góry. Opadł więc na wielkie drzewo homarowe i postrzącał zeń homary na rosnące poniżej drzewo krabowe. Rzecz stała się zapewne wiosną, gdy homary były jeszcze młode, skrzyżowały się więc z krabami i urodziły nowe owoce, podobne do obydwu rodzajów.

Chciałem z sobą jeden taki owoc jako wielką osobliwość zabrać, ale był dla mnie co nieco przyciążki, a mój wierzchowiec nie chciał się zatrzymać. Jużem połowę drogi przemierzył i właśnie znajdował się w dolinie, co najmniej pięćset sążni pod powierzchnią morza, jużem niemile brak powietrza odczuwał, a także i z innych względów błogo mi nie było. Raz po raz bowiem spotykałem olbrzymie ryby, które, sądząc po ich rozwartych pyskach, były nie od tego, aby mnie pożreć wraz z moim wierzchowcem. Mój Rosynant * był ślepy i dlatego tylko, że ostrożnie nim kierowałem, uszedłem srogim zakusom tych głodnych bestii. Pędziłem więc tęgim galopem, by co prędzej znów na suchej ziemi stanąć.

Tak kończy się opowieść mego ojca, panowie. Przypomniałem ją sobie dzięki sławnej procy, która choć się tak długo w mojej rodzinie zachowała i tak wielkie oddała jej usługi, lecz w pysku konia morskiego niestety silnie ucierpiała.

Ja w każdym razie użyłem jej tylko raz — jakem to już opowiadał — kiedym to niewypalony pocisk posłał z powrotem Hiszpanom ratując w ten sposób dwóch moich przyja-

* Rosynant — imię konia Don Kichota, bohatera sławnej powieści pisarza hiszpańskiego Miguela Cervantesa (1547—1616). Potocznie: licha szkapa.

ciół od szubienicy. Dla tak szlachetnego celu poświęciłem moją procę, która już była nieco zbutwiała. Większa jej część oderwała się wraz z pociskiem, a mały kawałeczek, który mi w rękę pozostał, przechowuję teraz wraz z innymi starożytnymi zabytkami w moim archiwum rodzinnym na wieczną rzecz pamiątkę.

Wkrótce potem opuściłem Gibraltar i powróciłem do Anglii. Tu spotkał mnie najdziwniejszy w moim życiu przypadek.

Byłem zmuszony udać się do Wapping, aby rzucić okiem na załadunek przeróżnych rzeczy, którem do moich przyjaciół w Hamburgu chciał wyprawić. Gdym już z tym skończył, zawróciłem przez Tower Wharf. Było południe, czułem się straszliwie znużony, a słońce tak nieznośnie dopiekało, że wlałem do jednej z armat, aby w niej nieco wypocząć. Gdy tylko znalazłem się wewnątrz lufy, natychmiast głęboko zasnąłem. Był to akurat czwarty lipca, dzień urodzin króla angielskiego, i o pierwszej miano dać ognia z armat dla uczczenia tego dnia.

Armaty nabito rankiem, a że nikomu nie przyszło do głowy, że w jednej z nich siedzę, wystrzelono mnie ponad domami na przeciwległy brzeg rzeki wprost na podwórko pewnego dzierżawcy, pomiędzy Bermondsey a Deptford.

Tu spałem na wielką kopę siana tak, jak się łatwo domyślić, ogłuszony, że się wcale nie obudziłem. Po trzech miesiącach straszliwie zdrożało siano. Dzierżawca spodziewał się więc, że dobrze się obłowi gdy je teraz sprzeda. Kopa, na której leżałem, była największa ze wszystkich stojących na podwórku. Było w niej chyba z pięćset fur.

Obudziły mnie głosy ludzi, którzy przystawili drabinę do kopy, by na nią wejść. Na poły we śnie, nie wiedząc, gdzie jestem, porwałem się do ucieczki i runąłem w dół na właściciela siana. Nie stało mi się nic. Ale stało się, i bardzo, dzierżawcy: leżał bowiem pode mną martwy. Całkiem niechcący złamałem mu kark. Ale się bardzo uspokoiłem, gdym się wkrótce dowiedział, iż był to obmierzły lichwiarz, który plony swych pól tak długo przetrzymywał, póki nie zdrożały, aby je potem sprzedać z nadmiernym zyskiem.

Tak więc ta nagła śmierć była dla niego sprawiedliwą karą, a prawdziwym dobrodziejstwem dla ludu.

Jakżem jednak się zdumiał całkiem już przyszedłszy do siebie, gdy, usilnie natężając głowę, powiązałem moje obecne myśli z tymi, z którymi przed trzema miesiącami usnąłem! A jak wielkie było zdumienie moich londyńskich przyjaciół, gdym po wielu daremnych poszukiwaniach z nagłą się zjawił! Możecie sobie to, moi panowie, łatwo wyobrazić.

Przeto pociągnijmy teraz z kielicha, po czym opowiem panom jeszcze o paru moich morskich przygodach!

Ósma podróż morska

Bez wątpienia słyszeliście, panowie, o ostatniej naukowej podróży kapitana Phippsa, obecnego lorda Mulgrave. Towarzyszyłem w niej kapitanowi nie jako oficer, lecz jako przyjaciel. Gdyśmy przybyli na dość już daleko wysunięty stopień szerokości północnej, wziąłem moją lornetę, z którą już was, opowiadając o mojej podróży do Gibraltaru, zapoznałem, i jąłem się rozglądać po otaczającej mnie okolicy. Bo, powiem wam mimochodem, że uważam za stosowne rozejrzeć się od czasu do czasu dookoła, zwłaszcza w podróży.

Mniej więcej o milę przed nami przepływała góra lodowa, o wiele wyższa od naszego masztu. Ujrzałem na niej dwa niedźwiedzie, które, jak mi się zdawało, zawzięcie się ze sobą potykały. Zawiesiłem flintę na ramieniu i ruszyłem na tę górę, ale gdym na jej szczyt dotarł,

połapałem się, iż obrałem niewymownie trudną i mozolną drogę. Raz po raz musiałem skakać przez straszliwe przepaście, miejscami zaś powierzchnia góry gładka była jak zwierciadło, tak że tylko wciąż padał i wstawał, z trudem naprzód się posuwając. W końcu przecież dotarłem do miejsca, skąd mogłem wziąć na cel niedźwiedzie. Ale wraz się przekonał, iż się nie biją, ale z sobą baraszkują.

Jużem wartość ich skór obliczał, bo każdy z nich był co najmniej wielkości dobrze wykarmionego wołu, gdy, właśnie do strzału się sposobiał, pośliznąłem się na prawej nodze, przewróciłem w tył i uderzyłem się tak mocno, że straciłem przytomność. Wyobraźcie sobie, panowie, jakim się zdziwił, gdym otrzeźwiawszy spostrzegł, że jeden z potworów, o których wspomniałem, obrócił mnie twarzą ku ziemi i chwycił mnie za pas moich nowych łośowych spodni. Górna część mego tułowia tkwiła pod jego brzuchem, a nogi wystawały na zewnątrz. Bóg raczy wiedzieć, dokąd by mnie tak ta bestia zawlokła, ale chwycił w rękę mój scyzoryk, ten, który oto tu widzicie, panowie, złapałem niedźwiedzia za lewą tylną łapę i obciałem mu trzy palce. Puścił mnie i ryknął przeraźliwie. Chwyciłem więc strzelbę i palnałem do umykającego. Padł natychmiast.

Od tego strzału wprawdzie jeden krwiożerczy zwierz zapadł w sen wieczny, ale za to zbudziły się ich tysiące, które na pół mili dokoła leżały i spały. I wszystkie razem nadbiegły pędem. Nie było czasu do stracenia: giń albo się sprytnym fortelem ratuj! I taki fortel przyszedł mi do głowy.

Prędzej niż biegły myśliwy obdziera ze skóry zająca, zdarłem ją z zabitego niedźwiedzia. Po czym owinałem się w nią, a głowę ukryłem pod niedźwiedzim łbem. Ledwom to uczynił, zbiegło się całe stado i otoczyło mnie. Zimno i gorąco mi się zrobiło pod tym futrem. Ale podstęp się udał. Niedźwiedź za niedźwiedzim podchodził do mnie, obwąchiwał i najoczywiściej brał mnie za — niedźwiedzia. Żem nie ułomek — dorównywałem im wzrostem, i tylko niektóre młodziaki niewiele były ode mnie większe.

Gdy już wszystkie mnie i skórę kompana-nieboszczyka obwąchały, rozweseliły się wielce. A ja jałem je naśladować we wszystkim, co czyniły. Co się jednak tyczy pomruków, porykiwania i mocowania się, daleki byłem od ich mistrzostwa. Wyglądałem na niedźwiedzia, ale był przecież człowiekiem. Zacząłem tedy rozmyślać, jak wykorzystać tę ufność, która między mną a tymi zwierzętami zapanowała.

Słyszałem kiedyś od jednego starego cyrulika, że każdy cios w kręgosłup na miejscu zabija. Postanowiłem tedy przekonać się o tym. Wziąłem znów nóż do ręki i uderzyłem nim największego niedźwiedzia w kark, tuż przy łopatkach. Był to wyczyn wielce hazardowny i drżałem o moje życie. Oczywiście, gdyby bestia pod ciosem nie padła, byłbym rozerwany na strzępy. Lecz próba się udała. Niedźwiedź zważył mi się martwy do stóp, ani nawet nie mruknął. Postanowiłem tedy wybić tym sposobem wszystkie inne. Rzecz nie okazała się trudna. Bo choć niedźwiedzie widziały, jak ich bracia padali, nie podejrzewały w tym nic złego. Na ich i moje szczęście nie pomyślały nawet o przyczynie i skutku tego padania. Gdym ujrzał, że już wszystkie martwe przede mną leżą, zdałem się sam sobie Samsonem, który obalił tysiące. Krótko więc rzecz kończąc: zawróciłem do okrętu i wezwałem do pomocy trzy czwarte załogi, bom chciałem niedźwiedzie ze skóry obłupić i udźce przenieść na pokład. W parę godzin skończyliśmy z tym wszystkim i załadowaliśmy pełen okręt. Resztki mięsa wrzuciliśmy do wody, choć pewien jestem, że należycie zasoliwszy, byłoby je można zjeść z równym smakiem jak i udźce. Parę ich posłałem w imieniu kapitana natychmiast po naszym powrocie lordom admirałom, parę — lordom skarbnikom, parę — lordowi majorowi i radzie miejskiej miasta Londynu, parę — towarzystwom naukowym, a resztę najbliższym moim przyjaciółom. Zewsząd zaszczycono mnie najgorętszymi podziękowaniami, a rada miejska odwzajemniła mi się w całkiem niezwykły sposób. Zaprosiła mnie bowiem raz na zawsze na coroczną ucztę wyprawianą na ratuszu w dzień wyborów lorda-majora.

Skóry niedźwiedzie przesałem cesarzowej rosyjskiej na futra dla Jej Cesarskiej Mości i

Jej dworu. Podziękowała mi za to przesłanym przez nadzwyczajnego posła własnoręcznym listem, w którym ofiarowała mi cesarską koronę, prosząc, bym z nią honor władzy podzielił. Ale żem się nigdy do monarszej godności nie palił, od tej łaski wymówiłem się w wielce subtelnych słowach. Ten sam poseł, który mi cesarskie pismo wręczył, miał poruczone zaczekać na moją odpowiedź i zawieźć ją osobiście Jej Cesarskiej Mości. Następnym listem, którym od cesarzowej otrzymał, przekonał mnie o gwałtowności jej uczuć i wzniosłości jej ducha. Przyczyną jej ostatniej choroby — jak raczyła wyjawić ta tkliwa dusza w rozmowie z księciem Dołgorukim — była wyłącznie moja oziębłość. Nie pojmuję doprawdy, co damy we mnie widzą. Cesarzowa bowiem to nie pierwsza przedstawicielka płci pięknej, która mi z wysokości tronu rękę swą ofiarowała.

Niektórzy ludzie rozpuścili oszczercze wieści, jakoby kapitan Phipps wcale tak daleko, jak by mógł, nie zajechał. Moją powinnością jest wszakże go obronić. Okręt nasz szedł dobrym kursem, pókim go udźcami i skórmi niedźwiedzimi tak nie obładował, że byłoby już szaleństwem płynąć dalej. Żeglowaliśmy z ledwością, zdani na lekuchny powiew wiatru, i to wśród gór lodowych, które znajdują się na dalszych szerokościach.

Kapitan nieraz wspominał, iż bardzo jest nierad, nie podzieliwszy ze mną chwały tego dnia, który „Dniem Skór Niedźwiedzich” zawsze zowie. Zazdrości mi też niemało sławy tego sukcesu i na wszelkie sposoby stara się jego wagę pomniejszyć. Nieraz już z tego powodu wynikała między nami kłótnia, a i teraz jesteśmy z sobą na bakier. Obsta je on przy tym, że oszukałem niedźwiedzie, bom się pod skórą jednego z nich ukrył. On — poszedłby pomiędzy nie z odkrytą twarzą, a i tak wzięłyby go za niedźwiedzia.

Jest to sprawa nazbyt subtelna i drażliwa, by się o nią człowiek, co na dobre obyczaje baczy, z kimkolwiek, a zwłaszcza z szlachcicem, spierał.

Dziewiąta podróż morska

W następną podróż morską wyruszyłem z Anglii z generałem Hamiltonem. Płynęliśmy do Indii Wschodnich. Miałem ze sobą wyżła — legawca, który doprawdy wart był tyle złota, ile ważył. Nigdy mnie bowiem nie zawiódł. Pewnego dnia, gdyśmy, sądząc z dokonanych najściślejszych obliczeń, znajdowali się o jakieś trzysta najmniej mil od lądu, nastawił mój pies uszy i szczeknął. Przyglądałem mu się z godzinę chyba ze zdumieniem, po czym powiedziałem o tym kapitanowi i wszystkim oficerom załogi, twierdząc stanowczo, że ląd musi być blisko, bowiem mój pies zwęszył zwierzynę. To wywołało powszechny śmiech, ale wcale nie zmieniło mego dobrego zdania o psie.

Po wielu sporach za i przeciw, powiedziałem kapitanowi z wielką stanowczością, iż więcej wierzę w nos mego wyżła niż oczom całej załogi, i założyłem się o sto gwinei — a była to sumka, która równa była kosztom całej tej podróży — że w pół godziny jakąś zwierzynę napotkamy. Pocziwiec-kapitan znowu się roześmiał i poprosił pana Crawford, naszego okrętowego chirurga, by mi puls pomacał. Uczyniwszy to chirurg orzekł, że jest zdrów całkowicie. Po czym obaj zaczęli szeptać i oto, com dosłyszeli:

— Nie jest przy zdrowych zmysłach — powiedział kapitan. — Wiec honor mi nie pozwala z nim się o tak wielką sumę założyć!

— Jestem wprost przeciwnego zdania — odrzekł chirurg. — Nic mu nie brak. Zdaje się tylko więcej na węch swego psa niż na rozum oficerów załogi. Przegra zakład z wszelką pewnością, ale zasłużył na to.

— Taki zakład — powiedział kapitan — nigdy z mojej strony nie będzie całkiem godzi-

wy. Ale tym-ci piękniej będzie, gdy mu potem pieniądze zwrócę.

Podczas tej pogwarki mój wyżeł ani drgnął z miejsca, co mnie bardziej jeszcze przekonało, że mam słuszność. Zaproponowałem tedy zakład jeszcze raz i na tym stanęło.

Ledwośmy obaj wyrzekli: — Zgoda! — marynarze, którzy z łodzi umocowanej do rufy okrętu ryby łowili, złapali rekina niezwyklej wielkości i wyciągnęli go na pokład.

Już go częściowo rozplatali, gdy — patrzcież! — w brzuchu tego zwierza ukazało się ni mniej, ni więcej, tylko sześć par kuropatw. Biedne stworzenia już tak dawno tam się znajdowały, że jedna z kur siedziała na pięciu jajach, a z jednego jaja akurat wtedy, gdy rozplątano rekina, wyległo się pisklę.

Tego młodego ptaszka wychowaliśmy sobie razem z miotem kociąt, co na chwilę przedtem przyszły na świat. Stara kocica tak go kochała jak swoje czworonogie dzieci i zapędzała z powrotem, gdy odrzynał za daleko i zaraz nie wracał. Wśród pozostałych kuropatw były cztery kury, z których zawsze co najmniej jedna, a przeważnie więcej siedziało na jajach, tak że w czasie naszej podróży mieliśmy nadmiar dziczyzny na kapitańskim stole. Memu poczciwemu wyżłowi zaś, zem dzięki niemu sto gwinei wygrał, kazałem co dzień dawać kości, a czasem i całego ptaka.

Dziesiąta podróż morska

Już kiedyś opowiadałem wam, panowie, o mojej krótkiej podróży na księżyc, dokąd się po moją srebrną siekierę wybrałem. Po raz wtóry dostałem się tam w o wiele miłszy sposób i przebywałem dość długo, by się zapoznać należycie z rozmaitymi sprawami, które wam teraz tak dokładnie, jak mi na to pamięć pozwoli, opiszę.

Pewien mój daleki krewny nabił sobie głowę, że gdzieś na pewno żyją ludzie tego wzrostu, co ci, których rzekomo spotkał Guliwer w królestwie Brobdingnag.

By ich tedy odnaleźć, wybrał się w podróż naukową i prosił mnie, abym mu towarzyszył. Wprawdzie miałem to opowiadanie za nic więcej niż dobrą bajkę i tyłem wierzył w Brobdingnag, co w Eldorado. Jednak, że mój krewny uczynił mnie swym spadkobiercą, musiałem być dlań grzeczny.

Szczęśliwie przybyliśmy na Morze Południowe, nic godnego wspomnienia nie spotykając, chyba ludzi fruujących, którzy w powietrzu tańczyli menuety i inne skoczne sztuki wyczyniali, oraz parę podobnych bagatelek.

Osiemnastego dnia podróży, gdyśmy zbliżyli się do wyspy Otaheiti, orkan uniósł nasz statek na jakieś tysiąc mil ponad powierzchnię morza i przez pewien czas na tej wysokości trzymał. Wreszcie wiatr się odmienił, wzdał nasze żagle i pchnął nas dalej z szybkością nie do wiary. Sześć tygodni żeglowaliśmy ponad chmurami, aż wreszcie napotkaliśmy wielki ląd, krągły i lśniący jak jarząca się wyspa. Wpłynęliśmy do wygodnej przystani, wysiedliśmy na ląd i przekonałiśmy się, że kraj ten jest zamieszkały. Pod nami widzieliśmy inny ląd, a na nim góry, rzeki, morza, drzewa, miasta i tak dalej. Domyślaliśmy się, że to ziemia, którąśmy opuścili.

Na księżycu, gdyż on to był tą jarzącą się wyspą, na którejśmy wylądowali, widzieliśmy ogromne postacie jadące wierzchem na trójgłowych sępach. Aby dać wam, panowie, pojęcie o wielkości tych ptaków, powiem wam tylko, że odległość od końca jednego skrzydła do drugiego była sześć razy większa niż najdłuższa lina żaglowa na naszym okręcie.

I tak jak my na naszym świecie dosiadamy koni, mieszkańcy księżycy jeżdżą wierzchem na tych ptakach.

Król księżycy był właśnie w wojnie z królem słońca i ofiarował mi rangę oficera. Wy-mówiłem się jednak od tej godności, którą Jego Królewska Mość zamierzał mnie obdarzyć.

Wszystko na tym księżycowym świecie jest wielkie nad podziw: na ten przykład zwykła mucha niewiele jest mniejsza od naszej owcy. Korzenie chrzanu — są najznakomitszą bronią, którą się mieszkańcy księżycy na wojnie posługują, używając ich jako oszczepów. Kogo zaś taki oszczep zrani, ten natychmiast umiera. Tarcze ich — to grzyby, a gdy pora dojrzewania chrzanu minie — zastępują go szparagi.

Spotkałem tu też ludzi z Psiej Gwiazdy rodem, których na tę wojnę zwabiła żądza czynu. Ci mają wielkie gęby, jak psy, które się buldogami zowią. Oczy mają po obu stronach czubka nosa albo raczej po obu stronach jego spodu. Powiek wcale nie mają, a oczy, gdy idą spać, przesłaniają jęzorem. Wzrostu mają zazwyczaj dwadzieścia stóp, a mieszkańcy księżycy ni mniej, ni więcej tylko stóp trzydzieści sześć. Niezwykłe jest ich miano. Nie zowią się bo-wiem ludźmi, ale „gotującymi stworzeniami”. Tak bowiem, jak i my sposobią sobie potrawy przy pomocy gotowania na ogniu.

Jedzenie zresztą mało im czasu zabiera. Tyle tylko, by otworzyć sobie lewy bok i wsu-nać do żołądka cały zapas naraz. Po czym zamykają go i nie otwierają aż równo za miesiąc. W ten sposób posilają się tylko dwanaście razy na rok. Oto porządek rzeczy, który każdy, kto nie jest żarłokiem ani hulaką, nad nasz będzie przedkładał!

Wszystko na księżycu na drzewach rośnie, drzewa zaś różnią się wielce między sobą, tak pod względem owocu, jak i wielkości oraz liści.

Te, na których ludzie, czyli „gotujące stworzenia” rosną, są o wiele piękniejsze od innych: mają długie, proste gałęzie, a liście cielistej barwy, owoce zaś kształtu orzechów długich chyba na sześć stóp, o bardzo twardej skorupie. Gdy dojrzeją, co się po zmianie barwy poznaje, zrywa się je pieczołowicie i przechowuje tak długo, jak się to zdaje poży-tecznym. Chcąc w tych orzechach zachować żywe ziarna, ciska się je do wielkiego kotła wrzątku, a po paru małych godzinkach otwiera się skorupa i wyskakuje z niej stworzenie.

Ducha zaś jego, zanim jeszcze przyjdzie na świat, zgodnie z jego przeznaczeniem formuje sama natura. Z jednej skorupy rodzi się żołnierz, z drugiej — filozof, z trzeciej — teolog, z czwartej — prawnik, z piątej — dzierżawca, z szóstej — chłop — i tak dalej. Każdy zaś zaczyna zaraz praktykować to, co przedtem z czystej teorii wiedział. Niełatwo dojść, co tkwi w której skorupie. Lecz właśnie w czasie mego pobytu pewien uczony uczynił wielki rwetes, że odkrył tę tajemnicę. Mało kto jednak przecież na niego baczył i powszechnie miano go za szalonego.

Gdy się ludzie księżycowi starzeją, nie umierają, lecz rozpuszczają się w powietrzu i rozwiewają jak dym.

Nie używają żadnych napojów, bo nigdy się w inny sposób nie wypróżniają, jak tylko przez wydychanie. Mają zaledwie po jednym palcu u każdej ręki i wszystko mogą nim czy-nić, lepiej jeszcze niż my, choć mamy przecież po cztery palce — nie licząc kciuka.

Głowa tkwi im pod prawym ramieniem, a gdy wyruszają w podróż albo do pracy, przy której zwinnie poruszać się muszą, zwykli głowę swą zostawiać w domu. Radzić się jej bowiem mogą z każdego oddalenia. Księżycowi jaśniewielmożni, gdy chcą się dowiedzieć, co się dzieje wśród prostaków, a pójść między nich im się nie chce, zostają sami w domu, to znaczy zostawiają w nim tułów, a wyprawiają tylko samą głowę. Głowa, która może wcale nie okazywać, do kogo należy, powraca z wieściami do swego pana, gdy ten taką chęć wy-razić raczy.

Pestki księżycowych winogron przypominają całkiem kulki gradu. Pewien tedy jestem, że gdy burza na księżycu winne grona z łodyg strąca, pestki spadają wtedy jako grad na naszą ziemię. Sądzę także, że nie od dziś wiedzą o tym niektórzy kupcy winni. Nieraz bowiem trafiło mi się u nich kupić wino, które zapewne z kulek gradowych tłoczone było, miało bowiem smak całkiem księżycowy.

Niemal zapomniałbym o jeszcze jednej osobliwości. Brzuch mieszkańców księżycy służy im za tobolek.. Pakują doń wszystko, co im potrzebne, zamykają i otwierają wedle chęci, tak jak to czynią z żołądkiem. Nie obciążają ich bowiem inne wnętrzności, jak kiszki, wątroba czy serce.

Oczy mogą sobie wyjmować lub na powrót wkładać, jak im się żywnie podoba, a widzą nimi jednak dobrze, czy je mają w głowie, czy trzymają w ręku. Jeśli zaś które zgubią czy przypadkiem uszkodzą, mogą sobie kupić lub pożyczyć inne i używać je z takim samym dobrym skutkiem jak własne. Stąd też wszędzie na księżycu spotkać można ludzi, co handlują oczami. Mają też mieszkańcy, co się oczu tyczą, swoje kaprysy: to zielone, to żółte bywają w modzie.

Przyznaję, że to wszystko, com opowiedział, brzmi cudacznie. Ale przecież każdemu, kto by w cokolwiek z tego wątpił, daję wolną rękę, by się na księżyc wybrał i sam przekonał, żem wszystko tak wiernie przedstawił, jak rzadko który podróżny.

Podróż na przestrzał świata i inne niezwykle przygody

Jeśliby wierzyć waszym spojrzeniom, panowie, prędzej się znużę opowiadając moje dziwne przypadki niż wy ich słuchając. Zbyt pochlebia mi wasza ciekawość, abym — jakem to zamierzał — opisem podróży na księżyc moją opowieść miał skończyć. Jeśli tedy chcecie, posłuchajcie jeszcze równie, jak ostatnia, wiarogodnej, lecz chyba bardziej jeszcze niezwyklej i cudownej opowieści.

„Podróże sycylijskie” Brydone'a, w które się z wielką przyjemnością wczytywałem, zachęciły mnie, aby się wybrać na górę Etnę. W drodze nie spotkało mnie nic niezwyklego. Powiadam wyraźnie „mnie”, może bowiem kto inny uznałby za rzecz niezwykle to czy owo i aby mu się podróż opłaciła, szerokiej publiczności o tym przy okazji opowiadał. Dla mnie był to jednak zwykłe drobnostki, niewarte, by dla nich nadużywać cierpliwości zacnych osób.

Któregoś ranka wyruszyłem wcześniej ze stojącej u stóp góry chaty. Postanowiłem bowiem niezłomnie, choćby mnie to życie kosztować miało, że dowiem się i zbadam, jak też od środka wygląda ta sławna ognista panewka.

Po trzygodzinnej uciążliwej drodze stanąłem na szczycie góry. Wulkan szalał właśnie już od trzech tygodni. Jak Etna wygląda w takich okolicznościach, opisywano już wielokrotnie, tedy — o ile to zostało już opisane — ja bym się w każdym razie z tym spóźnił.

A doświadczenie mi powiada, że jeśli tych opisów nie znacie, to szkoda mojego czasu, a waszego humoru, abym się ważył na rzecz właściwie nie do opisanania.

Trzykrotnie obszedłem wokoło krater, który możecie sobie, panowie, wyobrazić niby olbrzymi lejek, a widząc, że w ten sposób nic nie spenetruję, szybko i gładko postanowiłem weń wskoczyć. Ledwom to uczynił, znalazłem się jakby w straszliwie rozparzonej łaźni tureckiej, a nieszczęsne moje ciało od tryskających nieustannie w górę, rozżarzonych do czerwoności węgli zostało nieco w swych szlachetnych i nieszlachetnych częściach uszkodzone i żałośnie opalone.

Węgłe były wprawdzie wyrzucane w górę z olbrzymią siłą, ale jeszcze większy był ciężar mego spadającego ciała, tak żem się wkrótce szczęśliwie na dnie pozbierał. Pierwsze, com usłyszał, to przeraźliwe łomoty, hałas, krzyki i przekleństwa, które zdawały się tuż koło mnie rozlegać. Otworzyłem oczy i — patrzcie! — byłem w kompanii Wulkana i jego jednokich olbrzymów!

Jegomoście ci, których, na zdrowy rozum rzecz biorąc, dawno już do kraju bajek prze-

gnałem, klócili się od trzech tygodni, kto komu i jak ma przewodzić, skąd właśnie w górze, na świecie, powstały różne niepokoje. Nagłe moje zjawienie sprawiło, że natychmiast zapanowały w całej kompanii zgoda i spokój.

Wulkan pokuśtykał do swojej szafy, wziął plaster i maści i własnoręcznie mnie opatrzył. Nie minęło i parę chwil, a zagoiły się moje rany. Dał mi także coś na pokrzepienie: flaszę nektaru i wybornego wina, które pijają tylko bogowie i boginie. Gdym tylko nieco do siebie przyszedł, Wulkan przedstawił mnie swojej małżonce i polecił jej, by jak najbardziej umilić mój pobyt się starała. Trudno opisać piękno komnaty, do której mnie wprowadziła, miękkość kanapy, na której na jej prośby zasiadłem, boski i czarodziejski urok jej wzięcia oraz tkliwość jej czułego serca. Na samo wspomnienie o tym w głowie mi się kręci!

Wulkan opisał mi dokładnie górę Etnę. Jest to — jak mi rzekł — tylko kopczyk wyrzuconych z jego kuźni popiołów, i opowiadał mi, że często musi karać swoich ludzi. Wtedy ciska w nich rozżarzonymi do czerwoności węglami, a oni je z wielką zręcznością odbijają, smyrgając nimi na świat, aby nie trafiły znowu do jego rąk.

— Te nasze swary trwają całymi miesiącami — ciągnął Wulkan dalej — a na świecie objawiają się tym, co wy, śmiertelnicy, wybuchami wulkanu zwiecie. W górze zwanej Wezuwiusz mam też jeden z moich warsztatów, do którego prowadzi droga biegnąca na jakieś trzysta pięćdziesiąt mil pod powierzchnią morza. I tu również niezgoda wśród moich ludzi jest powodem wybuchów.

Choć wielce mnie zachwycały te pouczenia boga — bardziej jeszcze towarzystwo jego małżonki. Może bym też nigdy tego podziemnego pałacu nie opuścił, gdyby nie paru mąciocieli, radych cudzej biedzie plotkarzy, którzy sprawili, że robak podejrzliwości począł kąsać Wulkana i ogień zazdrości rozgorzał w jego dobrotliwym sercu.

Któregoś ranka, nie dając mi nic poznać po sobie, właśnie gdym się złożyć uszanowanie bogini wybierał, pochwyił mnie Wulkan, uniósł do komnaty, której do tej pory nigdy nie oglądał, i — trzymając nad czymś, co mi się zdało głęboką studnią — rzekł:

— Niewdzięczny śmiertelniku, wracaj na ziemię, z którejś tu przybył!

Po czym, nie zostawiając mi ani chwili czasu na tłumaczenie, cisnął mnie w głąb przepaści.

Spadałem i spadałem wciąż, z coraz to większą szybkością, aż wielki lęk duszny sprawił, że straciłem przytomność. Nagle — ocknąłem się z omdlenia. Znalazłem się bowiem w olbrzymim morzu, przez które przeświecały promienie słońca. Od młodości był ze mnie dobry pływak i umiałem wyczyniać w wodzie przeróżne sztuki. Od razu więc poczułem się jak w domu, zwłaszcza gdym wspomniał straszliwą opresję, z której tylko co się wybawiłem. W porównaniu z nią obecne położenie wydało mi się istnym rajem.

Obejrzałem się na wszystkie strony, ale nic dokoła prócz wody nie widział. Niemile też odczuwałem zmianę powietrza, tak tutaj innego niż w kuźni Wulkana. Spostrzegłem wreszcie w pewnym oddaleniu coś, co mi się wydało skałą płynącą ku mnie. Była to jednak jedna z pływających gór lodowych. Po długich poszukiwaniach znalazłem w końcu miejsce, które dym się na nią wydostał i na szczyt wdrapał.

Zawiodłem się jednak srodze, i stąd bowiem nie wypatrzyłem żadnego ładu. Był już prawie wieczór, gdym nareszcie ujrzał jakiś płynący ku mnie okręt. Gdy już był dość blisko — krzyknąłem. Odpowiedziano mi po holendersku. Skoczyłem do wody i podpłynąłem do okrętu, skąd mnie na pokład wciągnięto. Zapytałem, gdzie się znajduję, i usłyszałem, odpowiedź:

— Na Morzu Południowym.

To objaśnienie rozwiązało mi całą zagadkę. Byłem teraz pewny, że z góry Etny przez środek ziemi na Morze Południowe wyleciał. Zawsze to krócej niż jechać naokoło świata. Nikt jeszcze tej drogi nie próbował. Gdyby mi się zdarzyło raz jeszcze ją przebyć, poczynię dokładniejsze spostrzeżenia.

Poprosiłem, by mi dano coś na pokrzepienie, po czym poszedłem spać. Ale prostacki to naród, ci Holendrzy! Opowiedziałem holenderskim oficerom moje przygody tak po prostu i dokładnie, jak i wam, panowie, a niektórzy z nich, kapitan zwłaszcza, sądząc z ich min, zdawali się wątpić w moją prawdomówność. Że mnie jednak po przyjacielsku na okręt zabrali i ztem chcąc nie chcąc z ich grzeczności korzystał, musiałem obrazę schować do kieszeni.

Zapytałem więc, dokąd płyną, na co odpowiedzieli, że wybrali się w podróż po nowe odkrycia i że — jeśli moja opowieść jest prawdziwa — to zamiar ich w pełni się udał. Byliśmy właśnie na szlaku, którym płynął kapitan Cook, i następnego ranka zawinęliśmy do Botany-Bay, gdzie — prawdziwie! — rząd angielski nie powinien wysyłać za karę łotrzyków, lecz mężów pełnych zasług, aby ich nagrodzić. Natura bowiem nad podziw hojnie rozsypała tu swe najpiękniejsze dary.

Zatrzymaliśmy się tam zaledwie trzy dni. Czwartego, gdyśmy już od brzegu odbili, rozpętała się straszliwa burza, która w parę godzin poszarpała nam wszystkie żagle, rozplatała maszt i obaliła reję. Reja runęła na schówek, gdzie był schowany kompas, i rozbiła go na kawałki wraz ze skrzynką. Wie każdy, kto na morzu bywał, jakie skutki pociąga za sobą taka strata. Ani w prawo! Ani w lewo! Wreszcie jednak burza uspokoiła się i powiał łagodny, pomyślny wiatr.

Żeglowaliśmy trzy miesiące i przebyliśmy już wielki kawał drogi, gdyśmy spostrzegli, że wszystko wokół uległo zadziwiającej odmianie. Było nam lekko i radośnie. Wdychaliśmy balsamiczne wonie. Morze także zmieniło barwę: nie było zielone, ale białe.

Wkrótce po tej przedziwnej odmianie ujrzeliśmy ląd i niedaleką przystań, ku której jęliśmy żeglować. Wydała nam się szeroka i daleko sięgająca w ląd. Nie wypełniała jej wszakże woda, ale smakowite mleko.

Wylądowaliśmy i — wyobraźcie sobie! — wyspa ta był to olbrzymi ser! Może byśmy wcale o tym się nie dowiedzieli, gdyby nas niezwykły przypadek na trop tego odkrycia nie naprowadził. Był mianowicie na naszym okręcie pewien marynarz, który miał wrodzony wstręt do sera. Wsiadłszy na ląd zemdłał natychmiast. Gdy oprzytomniał, zaczął błagać, by mu zabrać ser spod nóg. Sprawdziliśmy rzecz dokładnie i okazało się, że ma słusność. Cała wyspa była jednym olbrzymim serem. Toteż mieszkańcy jej przeważnie nim się żywili, a co ujedli w dzień, to odrastało nocą.

Ujrzeliśmy tu mnóstwo winorośli, a na nich piękne, wielkie winogrona, które przy tłoczeniu wydawały z siebie mleko. Mieszkańcy byli wielce przystojnymi stworzeniami. Wzrostu mieli przeważnie dziewięć stóp. Trzymali się prosto, mieli po trzy nogi i po jednej ręce, a gdy wchodzili w wiek dojrzały, wyrastał im na czole róg, którego używali z wielką zręcznością. Urządzali oni wyścigi po powierzchni mleka i bynajmniej nie tonąc zażywali po nim przechadzki, jak my po łące. Na tej łące, chcę właściwie powiedzieć: na tym serze, rosły szerokie łany żyta o kłosach podobnych do grzybów, w nich zaś tkwiły chleby wypieczone, że można by je jeść choćby i zaraz.

Wędrując po tym serze napotkaliśmy siedem rzek mlecznych, a dwie winne.

Po szesnastodniowej wędrówce przybyliśmy na brzeg przeciwny temu, przy którymśmy wylądowali. Znaleźliśmy tu wielki obszar spleśniałego, całkiem już zielonego sera, którym znawcy tak się zachwycają. Nie była to właściwie pleśń, ale najwspanialsze drzewa owocowe, jak brzoskwinie, morele i tysiąc innych nie znanych nam gatunków. Na tych niezwykajnie wysokich drzewach było zatrzęsienie gniazd ptasich. Osobliwie jedno rzucało się w oczy. Było bowiem pięć razy większe niż kopia katedry świętego Pawła w Londynie. Uplecione było kunsztownie z olbrzymich drzew, a leżało w nim... czekajcież, panowie... staram się przecież zawsze obliczyć każdą rzecz akuratnie... co najmniej pięćset jaj, każde mniej więcej wielkości dwustugarnkowej beczki! Nie tylko widzieliśmy siedzące w nich pisklęta, ale słyszeliśmy także, jak piszczą. Gdyśmy z niemałym trudem rozwalili jedno z takich jaj, wyszło z niego młode, nieopierzone pisklę, o wiele większe niż dwadzieścia dobrze wyrosnię-

tych sępów. Ledwośmy je ze skorupy uwolnili, opuścił się olbrzymi stary zimorodek, porwał w szpony kapitana, uniósł go na milę w górę, setnie sprął skrzydłami, po czym cisnął do morza. Ale wszyscy Holendrzy pływają jak szczury. Toteż wkrótce kapitan znów wśród nas się zjawił i razem zawróciliśmy ku naszemu okrętowi, a żeśmy wracali inną drogą, napotkaliśmy na niej mnóstwo niezwykłych, nieznanych osobliwości.

Ustrzeliliśmy też dwa dzikie bawoły, które miały tylko po jednym rogu wyrastającym spomiędzy oczu. Przyszło nam później żałować, żeśmy je ubili, dowiedzieliśmy się bowiem, iż mieszkańcy wyspy je oswajają, oprzęgają i jeżdżą na nich wierzchem, jak my na koniach. Mówiono nam też, że ich mięso ma wyborny smak, ale co po tym takiemu narodowi, co tylko serem i mlekiem się żywi.

Już od okrętu dzieliło nas tylko dwa dni drogi, gdyśmy ujrzeli trzech ludzi wiszących za nogi na wysokim drzewie. Zapytałem tedy, co złego uczynili, że ich spotkała tak sroga kara. Dowiedziałem się, że byli za granicą, a po powrocie okłamali swoich przyjaciół, opowiadając im o okolicach, których wcale nie widzieli, i o przygodach, które wcale się nie zdarzyły. Uważam tę karę za wielce sprawiedliwą: największym bowiem obowiązkiem podróżnika jest nie mijać się z prawdą.

Natychmiast po przybyciu na okręt podnieśliśmy kotwicę i odpłynęliśmy od tego niezwykłego kraju. Wszystkie przybrzeżne drzewa, a było wśród nich wiele bardzo grubych i rozłożystych, pokłoniły nam się w pas, i to równo, w takt. Po czym wyprostowały się znowu.

Żeglowaliśmy przez trzy dni tam i sam, bośmy przecież nie mieli kompasu, i wreszcie wypłynęliśmy na morze, które zdawało się całkiem czarne. Spróbowaliśmy tej niby to czarnej wody i — patrzcież! — okazała się wybornym winem! Było dość roboty z upilnowaniem marynarzy, aby się nie wszyscy na raz upijali. Wszelako krótka to była radość. W parę godzin potem otoczyły nas wieloryby i inne ogromne zwierzęta. Było między nimi jedno, którego ogromu nie mogliśmy ogarnąć wzrokiem, nawet przy pomocy wszystkich lornet. Niestety spostrzegliśmy za późno potwora. Był już bardzo blisko i oto nagle nasz okręt, ze sterzcącymi masztami, na pełnych żaglach wpadł do paszczy, pomiędzy zęby potwora, przy których maszt największego wojennego okrętu wydałby się maluśką drzazgą!

Leżeliśmy już w paszczy czas niejaki, gdy potwór rozwarł ją nieco, wciągnął olbrzymi łyk wody i okręt, który, jak się łatwo domyślić, nie był małym kęskiem, spławił w dół, do żołądka. Tu utkwiliśmy spokojnie, jakby przykotwiczeni w śmiertelną morską ciszę. Powietrze było — trzeba przyznać — i ciepławe, i nieco niemiłe. Znaleźliśmy tu kotwice, liny, łodzie, szkuty i znaczną ilość okrętów, naładowanych i nie naładowanych, połkniętych przez ową stworę. Wszystko byliśmy zmuszeni czynić przy pochodniach. Nie świeciło tu bowiem ani słońce, ani księżyc, ani gwiazdy. Co dnia byliśmy dwa razy na wysokich wodach, a dwa razy — opieraliśmy się o dno. Gdy zwierz pił — mieliśmy przyływy, a gdy wody wypuszczał — osiadaliśmy na dnie.

Zwykle wciągał w siebie mniej więcej na raz tyle wody, ile mieści w sobie Jezioro Genewskie, choć ma ono przecież trzydzieści mil obwodu.

Drugiego dnia naszej niewoli w tym mrocznym królestwie odważyliśmy się z kapitanem i paroma oficerami zrobić mały wypad podczas odpływu, jakeśmy zwali czas, gdy okręt osiadał na dnie. Zabraliśmy z sobą pochodnie i spotkaliśmy w drodze z dziesięć tysięcy ludzi wszystkich narodowości. Właśnie zamierzali się naradzić, jak mamy wszyscy wolność odzyskać. Niektórzy spędzili w żołądku zwierza ładnych parę lat. Już przewodniczący zebrania miał przedstawić całą sprawę, w jakiejśmy się zgromadzili, gdy naszemu przekłętemu rybsku pić się zachciało. Zaczęło tedy chleptać wodę, która wdarła się weń z taką siłą, że pozostało nam tylko albo umykać ku naszym okrętom, albo utonąć. Niektórzy ratowali się wplaw i z trudem uszli śmierci. Lepiej powiodło nam się w parę godzin potem. Gdy bowiem potwór się wypróżnił, zgromadziliśmy się znowu. Że wybrano mnie teraz na przewodniczącego, doradziłem tedy, aby spoić dwa największe maszty i gdy potwór otworzy paszczę — zastawić ją

nimi na sztorc tak, aby jej zamknąć nie mógł.

Rada ta została przyjęta i wybraliśmy stu silnych chłopów do tej roboty. Ledwieśmy maszty przysposobili, trafiła się sposobna okoliczność, aby mój zamiar wykonać.

Potwór ziewnął, a my natychmiast wbiliśmy mu spokojnie maszty pomiędzy szczęki tak, że dolny koniec sięgał poprzez ozór do podgardla, a górny — tykał podniebienia. Prawdziwie: było całkiem niemożliwe, aby zamknął pysk, nawet gdyby nasze maszty nie były tak mocne. Że teraz w żołądku wszystko pływało, obsadziliśmy parę łodzi ludźmi a ci powiosłowali z nami w szeroki świat.

Trudno wypowiedzieć, jak błogo było ujrzeć światło dzienne po tej — licząc na oko — dwutygodniowej niewoli. Gdyśmy już wszyscy pożegnali się z tym przestronnym rybim żołądkiem, uformowaliśmy na morzu coś na kształt floty z trzydziestu pięciu okrętów przynależnych do różnych państw.

Maszty nasze pozostawiliśmy tkwiące w paszczy potwora, aby innych zabezpieczyć przed strasliwym nieszczęściem niewoli w tej gnoistej, mrocznej przepaści.

Przede wszystkim pragnęliśmy się dowiedzieć, w jakiej części świata się znajdujemy. Zrazu nie mogliśmy się w tym zorientować. Ale rozejrzawszy się w okolicy połapałem się, że jesteśmy na Kaspijskim Morzu.

Morze to zewsząd otacza ląd i nie ma ono połączenia z innymi wodami, nie wiedzieliśmy więc, jakeśmy się tu dostali. Wtedy jeden z mieszkańców Serowej Wyspy, któremu zabrał z sobą, bardzo rozsądnie mi to wytłumaczył. Wedle jego zdania potwór, w którego żołądku byliśmy tak długo uwięzieni, musiał nas przynieść tutaj jakimś podziemnym szlakiem. Tak czy owak ucieszyliśmy się, że tu jesteśmy, i postaraliśmy się jak najszybciej przybić do brzegu. Wylądowałem pierwszy.

Skórom tylko na suchym lądzie nogę postawił, przyskoczyło do mnie grube niedźwiedzisko. „Hej, bratku! — pomyślałem. — Zjawiasz się w samą porę!” I pochwycając jego przednie łapy, uściśnąłem je w pierwszym impecie tak serdecznie na powitanie, że zawył przeraźliwie. Alem ani drgnął nawet i trzymałem go w ten sposób tak długo, aż z głodu padł. A wszystkie niedźwiedzie nabrały dla mnie takiego respektu, że żaden nie ośmielił mi się już nigdy wejść w paradę.

Po czym ruszyłem do Petersburga, gdzie otrzymałem wielce cenny dar od starego przyjaciela. A mianowicie myśliwskiego psa, który pochodzi od owej słynnej suki, która, jak wam już, panowie, opowiadałem, oszczeniła się, goniąc zająca. Niestety, wkrótce potem ustrzelił mi ją niezręczny myśliwy, który zamiast w stado kuropatw, w psa wycelował.

Ze skóry tego zwierzęcia kazałem sobie uszyć tę oto kamizelę. Chadzam w niej zawsze na łowy, bo ma ona taką właściwość, że zawsze w niej tam trafiam, gdzie jest najwięcej zwierzyny. Gdy się do jakiegoś zwierzęcia zbliżę na odległość strzału, od mojej kamizeli odlatuje guzik i pada na to miejsce, gdzie zwierz się schował. A że mam zawsze odwiedziony kurek i proch na panewce, przeto nigdy mi zwierzyna nie uchodzi.

Otóż, jak widzicie, panowie, przy mojej kamizeli zostały zaledwie trzy guziki. Ale każę do niej przyszyć jeszcze dwa rzędy, gdy nastanie czas łowów. Odwiedźcie mnie wtedy, a na pewno będzie o czym pogadać. Na razie rzecz kończąc, żegnam was, panowie, i życzę dobrej nocy.

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne	02
Podróż z przygodami	03
Opowieści myśliwskie	05
Dwa psy i jeden koń	08
Jazda na kuli armatniej, podróż na księżyc i inne niezwykle przypadki	12
Pierwsza przygoda morska	14
Druga przygoda morska	17
Trzecia przygoda morska	18
Czwarta przygoda morska	18
Piąta przygoda morska	20
Szоста przygoda morska	22
Siódma przygoda morska (opowiedziana pod nieobecność barona)	24
Podróż do Gibraltaru	25
Ósma podróż morska	30
Dziewiąta podróż morska	32
Dziesiąta podróż morska	33
Podróż na przestrzał świata i inne niezwykle przygody	35